

Bogdan Miś

Pod koniec września prezes Rady Ministrów przekazał Sejmowi projekty zmian w ustawach o szkolnictwie wyższym oraz o stopniach i tytułach naukowych. Tym samym dobiega końca ogólnonarodowa dyskusja nad obliczem i rolą wyższych uczelni w Polsce Ludowej. Ostatnie słowo w tej dyskusji zabierze niedługo Sejm. Zanim to się jednak stanie, spróbujmy w dużym skrócie omówić główne treści obszernego, blisko 30-stronicowego projektu dokumentu.

KIERUNEK — BLIŻEJ ŻYCIA

Podstawowe założenia ideowe projektu zmian można wyczytać już z tekstu proponowanego art. 1 nowej ustawy. Mówi się w nim o tym, iż do zadań szkół wyższych należy „kształcenie i wychowywanie inteligencji zawodowej zdolnej aktywnie uczestniczyć w rozwoju gospodarki i kultury narodowej oraz w socjalistycznej przebudowie stosunków społecznych” (podkr. autora). Zwraca się uwagę na konieczność zapewnienia „trwałego postępu nauki polskiej i jej więzi z praktyką społeczną i gospodarczą”. Mówi się o prowadzeniu badań naukowych w „ściśłym związku z potrzebami życia i perspektywami rozwoju kraju”. Stwierdza się, iż podstawową zasadą w pracy uczelni jest jedność nauki, dydaktyki i wychowania.

Jeden z punktów art. 1 wydaje mi się szczególnie ważny: po raz pierwszy na szkoły wyższe zostanie ustawowo nałożony obowiązek zmiany treści programów w zależności od rozwoju światowej nauki i postępu techniki. Życie postępuje naprzód, a proces nauczania musi mu dostrzegać kroku — prawda ta znalazła swój wyraz praw-

Szkoła wyższa — bliżej życia

ny, pozwalając nam wreszcie traktować zmiany programów jako rzecz normalną i konieczną, nie zaś „eksperyment”, jak to było nazywane dotychczas. Oznacza to wypowiedzenie walki rutynie, oznacza wprowadzenie stanu zagrożenia dla wszystkich tych, którzy wyznawali hasło „dobrze jest, jak jest”. Myślę, że znakomita większość uczonych od lat oczekiwała właśnie na takie jasne i precyzyjne sformułowanie.

REALIZACJA CELÓW

Z przyjęcia określonych celów i zadań ideowo-politycznych przez wyższe uczelnie wynika konieczność przeprowadzenia pewnych zmian zarówno w samej strukturze szkoły, jak też w sposobach kierowania jej działaniem. Nowa ustawa idzie tu w kierunku znacznie większej elastyczności w porównaniu z przepisami obowiązującymi dotychczas. Znosi się więc przede wszystkim przestarzały i nie mający już sensu podział na szkoły wyższe i wyższe szkoły zawodowe, co pozwalała na jednolite traktowanie zagadnień szkolnictwa wyższego, a także daje podstawę do usunięcia podziału studentów na dwie kategorie.

Nie jest to przy tym tylko kwestia poprawienia sytuacji prestiżowej słuchaczy szkół inżynierskich i innych „zawodowych”, ale także postawienie uczelni „akademickich” wobec konieczności zapewnienia odpowiednich kadr do szkolenia ludzi, którzy najszybciej wejdą do produkcji, w szerokim sensie tego słowa, jako inżynierowie czy nauczyciele. Oznacza to dbałość o podniesienie poziomu wyższego szkolnictwa zawodowego i jednocześnie zbliżenie do praktyki procesu nauczania na następnych szczeblach: magisterskich, doktoranckich i specjalnych.

W dyskusji nad problematyką uczelni wiele miejsca zajmowało zagadnienie struktury wewnętrznej szkoły, które można by streścić w pytaniu: katedra czy instytut? Nowa ustawa nie precyzuje jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie, pozostawiając szkołom możliwość dostosowania się organizacyjnego do specyfiki pracy badawczej bądź procesu dydaktyczno-wychowawczego. Jest to wyraz zaufania autorów ustawy dla środowiska naukowego i gwarancja swobód akademickich.

Na życiu wewnętrznym szkół wyższych zaważą niewątpliwie dwie istotne zmiany, przewidziane w projekcie. Pierwsza z nich to generalne uporządkowanie zagadnienia władzy w uczelni i roli poszczególnych jej instancji. Nowa ustawa poważnie rozszerza uprawnienia rektora i dziekanów — i to zarówno poprzez zmianę roli senatów i rad wydziałów, jak też przekazanie rektorom niektórych uprawnień ministra. Projekt stwierdza, że wielkie ciała kolegialne — senat i rady wydziałów — mają pełnić w zasadzie rolę opiniodawczą wobec rektora i dziekanów. Nie oznacza to jednak zniesienia zasady kolegialności, bowiem

(Ciąg dalszy na str. 2)



UŚMIECH POLSKI

Okrażyli glob ziemski od Meksyku po Tokio. Tańczyli i śpiewali na Kubie, występowali przed publicznością Korei Północnej, w Mongolii i Chinach. Kraje Europy „zaliczyli” niemal wszystkie. W Związku Radzieckim, Francji i Szwajcarii są tak witani jak się wita starych, dobrych przyjaciół. Goszcza tam bowiem co kilka lat.

Nie zapominają, że nie mniej gorąco oczekiwani i oklaskiwani są w kraju. Stąd rejestr miejscowości, w których już występować wykazuje ponad 60 miast i miasteczek. O ich pracy pisali natchnione pióra recenzentów i to w samych superlatywach. Właściwie trudno te materiały określić jako krytyki. To po prostu eseje o polskiej sztuce ludowej, impresje o młodości, pięknie i radości życia... Powszechna urzeczienie!

Już wiecie — mowa tu — o tańczących i śpiewających dziewczętach i chłopcach — „Mazowszu” — Państwowym Zespole Ludowym Pieśni i Tańca im. Tadeusza Sygetyńskiego.

Ostatnio zespół gościł w Mielcu i Przemyślu. Zebrał huragany oklasków. Zostawił przeżycia artystyczne najwyższej rangi, oczarowanie prostota i bogactwem folkloru.

Z koncertu wyszłam oszołomiona, bodaj jak każdy z kilkutysięcznej rzeszy widzów-słuchaczy. Później — również jak wszyscy — zaczęłam podśpiewywać „W zielonym gajku”. Ktoś próbował z miejsca dorobić akompaniament trefli słowików, tak wdzięcznie i z dowcipem podany przez „Mazowsze”. Tylko z bitową transkrypcją refrenu jakoś nam nie wychodziło... Ten żart muzyczny bardzo się podobał! I nie warto byłoby o nim wspominać, gdyby właśnie to „niepoważne”, lekkie, z przymrużeniem oka traktowanie całego programu nie było jego cechą charakterystyczną. Traktowanie sztuki nie z wyżyn Parnasu, lecz jako fragment codzienności, zastępowanej wieczornej zabawy to atut bajecznego spektaklu.

„Mazowsze” przedstawiło w Mielcu i Przemyślu nowy pro-

gram przygotowany głównie z myślą o zagranicy. Nie chce się wierzyć, że upływa właśnie lat 20 od dni, w których Mira i Tadeusz Sygetyńscy przemierzając wioski Mazowsza zbierali stare pieśni i tańce centralnej Polski i wybierali muzykalną młodzież do projektowanego zespołu. Już pierwsze występy młodzieży z Karolina (tu mieści się ich siedziba) zdobyły niewągodny wprost rozgłos i poklask. Po dziesięciu latach, niektórzy sceptycy zaczęli się zastanawiać: „Mazowsze” pokazało piękno polskiego folkloru i co będą robił dalej?

Dziś, po obejrzeniu nowego spektaklu „Mazowsza” można tylko powtórzyć za Wilhelmem Machem — rzeszowianinem z pochodzenia, autorem słowa wstępnego do drukowanego programu: „Jest „Mazowsze” zjawiskiem i jest też równocześnie sprawą. Atrakcyjność artystyczna Zespołu — to nader fortunna suma i synteza jego własnych przymiotów i zasług a także wartości nagromadzonych przez wieki w kul-

turze narodowej, w tradycji. Zespół stał się medium — pośrednikiem i wyrazicielem tych wartości dla użytku społeczeństwa współczesnego. Podjął je, wydobyl z zaniedbania, a nawet niepamięci, odnowił i uszlachetnił znakomita transpozycja sztuki samorodnej w sublimowaną formę artystyczną, nie gubiąc po drodze prawdy, szczerości i prostoty pierwowzorów. Pieśń ludowa i taniec ludowy, zepchnięte w naszym stuleciu na peryferie lokalnego obyczaju, wstydliwie zamilkły często wynaturzone, a także niedawane na pastwę tanim pseudostylizacjom i kombinatorskiej tandencie rutyniarzy — nagle odzyskały swój szlachetny ton i rytm, pełny blask, naturalna uroda”.

„Mazowsze” szybko wyszło z kręgu folkloru Polski centralnej, rozszerzyło repertuar o pieśni i tańce całego kraju, od Białtyku po Bieszczady. Nota-

bene już przed 10 laty w programie znalazły się stroje, tańce i piosenki rzeszowskie, a w 1963 roku — łańcuckie z Krzemieniec.

Obecne występy „Mazowsza” to ogromne widowisko ludowe złożone z następujących po sobie scen rodzajowych, których wymowę można zamknąć w lapidarnych słowach piosenki „Piękna nasza Polska cała”!

I tu raz jeszcze zacytujmy Wilhelma Macha: „...jest „Mazowsze” nie tylko ambasadorem sztuki polskiej, lecz udowodnia, że folklor jednego kraju, artystycznie wzmocniony, potrafi stać się własnością kultury powszechnej”.

A to są wartości, które nigdy nie przestaną być aktualne. Dziękujemy Wam za wzruszenia i propagowanie prawdziwej sztuki. Na dwudziestolecie zaśpiewamy Wam 100 lat.

„Celem naszym jest włączyć się w życie publiczne państw komunistycznych wszystkimi siłami nowoczesnej propagandy”.

(Aussenpolitik, XI, 1962 r.)

Odciągnięcie uwagi narodów socjalistycznych od naczelnych założeń ideowo-politycznych i od realizacji swych zadań społeczno-ekonomicznych, koncentrowanie tej uwagi na brakach występujących w życiu społecznym, na marginesowych względem głównego nurtu życia sprawach — oto część zadań, jakie stawia sobie imperialistyczna dywersja ideowo-polityczna. Nad wypracowaniem skutecznych metod dywersyjnego działania pracują w Stanach Zjednoczonych 63 naukowe placówki cywilne, nie licząc specjalnych komitetów, towarzystw, agencji, katedr itp.

Nie pozostaje w tyle za USA Niemiecka Republika Federalna, na której terenie również działa wiele placówek, zajmujących się badaniem problematyki państw socjalistycznych, z szerokim uwzględnieniem Polski. Do upowszechnienia treści spełniających funkcje dywersyjne wykorzystuje się radio, prasę, film, książki, różnego typu misje rządowe i społeczne, konferencje i spotkania międzynarodowe, turystów indywidualnych i wycieczki, listy wysyłane do rodzin zamieszkujących penetrowane kraje, różnorodne organizacje itp. Słowem, każdy środek, jeśli nie został, może zostać do tego celu wykorzystany. Potwierdzają to doświadczenia naszego kraju, a szczególnie przykłady ostatnich 8 miesięcy 1968 r. z terenu Czechosłowacji.

Zadania ideowo-politycznej dywersji przeciwko krajom socjalistycznym są często realizowane z pomocą zagranicznej polityki kulturalnej. Zachodni Niemiec minister spraw zagranicznych Willy Brandt stwierdził że „zagraniczna polityka kulturalna, obok dyplomacji i ekonomii, jest głównym filarem nowoczesnej polityki zagranicznej”. Jest to powiedziane tak „elegancko”, aby nikt łatwo nie mógł się zorientować w rzeczywistych zamiarach bońskich przywódców i ideologów. Na ten typ działalności bońskie ministerstwo spraw zagranicznych wydało w 1966 ro-

ku 40 proc. swego budżetu, czyli 215 mln marek zachodniemieckich.

W ostatnim okresie na łamach prasy pojawiły się żądania poważnego zwiększenia tych sum. Pomagające ministerstwu spraw zagranicznych ministerstwo d/s przesiedleńców w tej działalności partycypuje sumą kilku milionów marek. To są źródła oficjalne, a

również na płaszczyźnie gospodarczej dla stworzenia lepszych warunków przedstawiania zachodniemieckiego stanowiska”. Wskazuje się jednocześnie, że taki dialog nie jest w Polsce możliwy z komunistami ani „półkomunistami”. A więc nie krzewienie języka i kultury niemieckiej, ale chęć zdobywania poparcia dla stanowiska zachodniemie-

Zrozumiał dobrze tę intencję przewodniczący Światowej Federacji Górnoślązaków, Karl Sitko, odpowiadając Riedlowi: „Ci (tzn. Niemcy i Polacy — podkreślenie S. G.), którzy należą do mojego Związku, dążą do tego, ażeby kiedyś powrócić do swych stron ojczystych i rozwijać je później w duchu europejskim”.

Być może panowie C. Riedel i K. Sitko znają się jako sąsiedzi z terenu Śląska, może nawet łączą ich interesy jako posiadaczy ziemskich majątków lub fabryk i stąd mają wspólną platformę rozmów. Polacy pamiętają jednak od pokoleń sąsiedztwo z Niemcami militarystycznymi i faszystowskimi i skutki, jakie z tego sąsiedztwa wynikły. Wiemy także, że powrót p. Riedla i p. Sitko do „stron ojczystych” i rozwijanie polityki „w duchu europejskim” oznaczać by musiało likwidację NRD, naruszenie status quo w Europie, rewizję granic na Odrze i Nysie Łużyckiej, powrót do sytuacji pomonachijskiej w Europie.

Dlatego nie dopuścimy, aby do narodu polskiego i żadnego z narodów socjalistycznych przenikało, jak żyją sobie tego p. Riedel i jego pracodawcy — zaufanie połączone z „obserwacją i nadzieją, silnym zaangażowaniem wewnętrznym w Wasze wysiłki, zmierzające do zdobycia wolności, demokracji narodowej, niezależności i urzeczywistnienia praw człowieka”, gdyż zdajemy sobie sprawę, że jest to nic innego, jak ukrywanie pod pseudopokojowymi hasłami odwetowej, militarystycznej polityki, której patronuje rząd NRF, a którą kanclerz K. Kiesinger i jego minister spraw zagranicznych W. Brandt nazywają „nową polityką wschodnią”.

Jesteśmy zainteresowani w poznawaniu dorobku kultury społeczeństwa zachodniemieckiego, we współpracy kulturalnej z NRF, tak samo zresztą, jak z każdym innym narodem, ale nie czujemy potrzeby odbioru w miejsce niemieckiej kultury — zachodniemieckich postulatów odwetowych i zachodniemieckiej interpretacji „ducha europejskiego”.

S. H. GALOCH

(AR)

1) Clemens J. Neuman. Musimy zdobyć sojuszników.

2) C. Riedel. Volksbote Nr 33 z dnia 17. VIII 1968 r.

3) Z tekstu pozdrowienia Ziomkostwa Niemców Sudeckich do narodu Czeskiego i Słowackiego.

Dywersja polityczna i bońskie „krzewienie kultury”

ile milionów marek dostarczają na tę działalność społeczne stowarzyszenia, prywatne rekiny zachodniemieckiej finansjery?

Jeśli prześledzimy dokładnie nie deklarację ministra, ale praktykę zachodniemieckiej „polityki kulturalnej”, to okaże się, że jej celem jest nie tylko reprezentowanie kultury NRF poza granicami państwa, ani też wspólna praca kulturalna ze światem, lecz zdobywanie zwolenników dla odwetowej, rewizjonistycznej polityki Niemieckiej Republiki Federalnej i inspirowanie akcji służących tej polityce.

Bońskim politykom z CDU/CSU ani z SPD w rzeczywistości nie zależy na tym, aby świat poznał historyczny dorobek kultury narodu niemieckiego. Pod płaszczykiem rozwoju stosunków kulturalnych i innych Bonn dąży do zdobycia sojuszników przez kontynuowanie i rozszerzanie kontaktów „z takimi ośrodkami na Zachodzie, w których można liczyć na poparcie stanowiska zachodniemieckiego”. Szczególnie wymienia się tutaj USA i Francję. Odnosi się to także do krajów socjalistycznych. Tak więc nawołuje się do wykorzystywania „wszelkich kontaktów z Polakami

niemieckiego, dla bońskiej „nowej polityki wschodniej”.

W Polsce tego poparcia szuka się nie u ludzi, którym drogi jest interes narodu, ale u tych, którzy wyznają i głoszą postawy narodowego nihilizmu, którzy przebaczą i proszą o przebaczenie. Pozyskanie stanowiska tych Polaków ma — zdaniem polityków bońskich — ułatwić oddziaływanie na komunistów i „półkomunistów”, czego zresztą oczekiwano w Bonn, np. w sytuacji kształtującej się od stycznia 1968 r. w bratniej Czechosłowacji.

Dla „pchnięcia naprzód dialogu polsko-niemieckiego” C. Riedel, członek Bundestagu z ramienia CDU i rzecznik Wspólnoty Robotniczej Katolickich Związków Wypędzonych, poszukuje kontaktów wśród amerykańskiej Polonii. W stanowym parlamencie Pensylwanii wypowiedział on ideę, że „ponieważ Niemcy i Polacy w Pensylwanii znają się jako sąsiedzi od pokoleń, to właśnie tam istnieje dobra platforma rozmów”. A dalej: „My, Niemcy, musimy zabiegać na całym świecie o zaufanie w nadziei, że trochę z tego przeniknie do narodów ujarzmionych”.

Szkoła wyższa - bliżej życia

(Ciąg dalszy ze str. 1)

przewiduje się powołanie organów mniejszych, przez to zaś bardziej operatywnych.

Wobec zwiększenia roli i zasięgu władzy rektora zaistniała potrzeba zrezygnowania z jego obieralności. Będzie on obecnie mianowany przez ministra i sam będzie z kolei (za zgodą ministra) powoływał dziekanów. Warto zwrócić uwagę, że ten właśnie punkt nowej ustawy jest szczególnie ostro atakowany przez wrogów, z „Wolną Europą” na czele. Dopatrują się oni w nim zamach na zasady demokracji, wychwalając pod niebiosa starą ustawę... i przemilczając starannie fakt, że ona również przewidywała możliwość powołania rektora przez ministra, tyle że po dwukrotnym skorzystaniu przez niego z prawa weta wobec kandydata z wyboru. Tak więc nowa ustawa po prostu odbiurokratyzowała i uprościła proces powoływania władz uczelni, jednocześnie wyjaśniając i precyzując wzajemną zależność wewnątrz szkoły.

Druga sprawa to rezygnacja z wymogu habilitacji przy powoływaniu na stanowiska docentów i profesorów. Wydaje mi się, że nie ma potrzeby polemizowania z argumentami panów z Monachium, jakoby w ten sposób mnożono „pseudonaukowców”. Wysokie wymagania, jakie stawiane są u nas przy obronie pracy doktorskiej, gwarantują dobry po-

ziom przyszłych docentów i profesorów. Nowe przepisy przywracają po prostu rangę doktoratowi — rangę, którą właściwie utracił, będąc czymś, co uprawniało jedynie do dalszego ubiegania się o kolejny stopień. Warto zwrócić uwagę, że Polska była dotąd jednym z nielicznych krajów na świecie, gdzie doktorat nie wystarczał do „wyzwolenia” z czołownika nauki na jej mistrza. W tej sytuacji wielu młodych doktorów wyładowywało swoją energię na wydanie drukiem rozprawy habilitacyjnej, zamiast poświęcić się kształceniu młodzieży. W efekcie pod względem przeciętnego wieku profesora i docenta jesteśmy dziś — delikatnie mówiąc — dość daleko od czołówki europejskiej. Sądzę, że postawienie sprawy w ten sposób, iż habilitacja jest prawem, a nie obowiązkiem uczzonego, jest jednym z najważniejszych i najbardziej pozytywnych postanowień projektu ustawy, otwiera bowiem drogę młodości.

Młodzi

I wreszcie ostatni ważny problem: zagadnienie miejsca młodzieży w życiu uczelni. Należy stwierdzić, iż w tym względzie ustawa wychodzi daleko naprzeciw postulatowi studentów. Nakładając na nich poważne obowiązki obywatelskie, podkreślając konsekwentnie konieczność zwiększenia oddziaływania wychowawczego uczelni na mło-

dzień, autorzy projektu nie obwarowali życia studenckiego nowymi przepisami, a przeciwnie — położyli nacisk na wychowanie przez współudział. Przedstawiciele młodzieży będą więc uczestniczyli w pracach i posiedzeniach organów koleżeńskich szkoły, zaś przy rektorze i dziekanach powołane zostaną rady do spraw młodzieży, w których ustawa gwarantuje jedną trzecią miejsc właśnie studentom. Również w radach pedagogicznych, które dziekani mogą powoływać na poszczególnych latach studiów, zasiadają przedstawiciele młodzieży.

Na marginesie tych decyzji przypomina mi się jeszcze jedna karkołomna wolta „Wolnej Europy”, która tak niedawno ubolewała nad pozbawieniem studentów praw do udziału w życiu uczelni. Okazuje się, że rozszerzenie tych praw, postulowane przez projekt ustawy... też jest perfidną sztuczką komunistów, którzy chcą wprowadzić do uczelnianych władz — o zgrozo! — przedstawicieli ZMS, ZMW i ZSP.

Prymitywne łamańce logiczne RWE nie są w stanie wprowadzić nikogo w błąd. Wystarczy bowiem dokładnie przeczytać tekst nowej ustawy, by zorientować się, że zapala ona przysłowiowe „zielone światło” dla młodych: zarówno studentów, jak i pracowników nauki. (AR)

BOGDAN MIŚ

Maria C. Guziolek

CZAS

U zbiegu ulic Słowackiego i Chopina czerwieńią mury przyszłego gmachu Państwowej Filharmonii. Na tej budowie od dłuższego czasu nic się nie dzieje. Działacze kultury, miłośnicy muzyki i wreszcie sami muzycy patrzą na tempo tej budowy z niepokojem. Nadchodzi zima, a obiekt otwarty. Wiadomo, że mrozy i śniegi zbytnio nie konserwują budowy, znajdującej się w „proszku”. Termin oddania do użytku pilnie oczekiwanego i tak bardzo potrzebnego gmachu — rok 1970. Dziś nie jest już tajemnicą przyczyna zastoju w pracach budowlanych filharmonii. Projektant zrobił błąd w obliczeniach konstrukcji dachowej. Błąd — na szczęście — został wykryty przez wykonawcę przed przystąpieniem do realizacji tej części budynku. Roboty trzeba było wstrzymać. Dalsze perypetie są wprost niewiarygodne, brzmią jak opowieść nie z tej ziemi, a może właśnie — z tej ziemi, zaczarowanego gąszczy, przez który niełatwo będzie można przebrnąć; przypłacimy niedbalstwo człowieka obecnie nieosiągalnego — nie wiadomo jeszcze jak wysoką ceną.

Pierwotny koszt sali koncertowej — taka jest oficjalna nazwa budowy — opiewał na 22 miliony zł. Teraz, gdy się dyskutuje o konieczności zmiany konstrukcji dachu na stalową nikt nie jest w stanie przewidzieć, ile pieniędzy będzie potrzebna, nikt nie jest w stanie przewidzieć, w jakim czasie warszawskie biuro projektów przgotuje nowy projekt i przepracuje dokumentację, kto i w jakim terminie wykona potrzebne



Fot. M. KOPEC

BUDOWY

elementy i wreszcie, kiedy budynek będzie służył rzeczownikom, kulturze.

Rzeszów liczy 80 tys. mieszkańców. Za kilka dobrych lat biuro ewidencji ludności zarejestruje 100-tysięcznego obywatela naszego miasta. Takie są plany rozwojowe i te na pewno będą zrealizowane, bo takie są wymogi przemysłu.

Nowoczesne społeczeństwo rozwija się prawidłowo we właściwych mu warunkach. Ma swe potrzeby, które w podstawowym stopniu muszą być zaspokajane. Rzeszów wystartował do nowych obowiązków jako stolica województwa od zera. W okresie 25 lat zmienił się całkowicie. Zmodernizował, obrósł w przepiękne osiedla mieszkaniowe, powiększył nieomal już pięciokrotnie liczbę mieszkańców. W tej przeogromnej pracy, na uboczu jakoś pozostawały nie sprawy kultury, lecz budowy obiektów kulturalnych, bazy dla rozwoju kultury i zaspokajania potrzeb kulturalnych nowej społeczności Rzeszowa. Nowej, bo nie bez znaczenia na kierunku rozwoju kultury ma m. in. powstanie w naszym mieście prężnego ośrodka naukowego, wyższych uczelni z kilkusetletnią rzeszą studentów.

— Problemy budownictwa obiektów kulturalnych i turystyczno-sportowych nabierają szczególnego znaczenia w świetle zapowiedzianego w tezach zjazdowych skrócenia w przyszłej pięcioletniej pracy w niektórych zawodach... — podkreślił w swym referacie I sekretarz KW PZPR tow. Władysław Kruczek w czasie Przedzjazdowej Konferencji w Rzeszowie. Powiedział także: „Resort kultury winien podjąć program modernizacji kin, domów kultury, bibliotek oraz budowę obiektów kulturalnych...”

Dwukrotne poruszenie w zasadniczy sposób budownictwa bazy dla kultury w czasie obrad Przedzjazdowej Konferencji Partijnej świadczy o wadze tego problemu w dalszym rozwoju naszego województwa, o gospodarskim spojrzeniu obejmującym dziś i pojutrze Rzeszowa i Rzeszowszczyzny.

Prace nad stworzeniem właściwej bazy dla działalności instytucji kulturalnych są poważnie zaawansowane. Wiemy, że w stadium przygotowania dokumentacji technicznej znajduje się budynek dla Liceum Sztuk Plastycznych wraz z warsztatami-pracowniami, internatem i salami wykładowymi. Liceum mieścić się będzie przy ul. Naruszewicza. Powstanie kosztem 19 mln zł. Rozpoczęcie prac — rok przyszy.

Rozpoczęcia budowy gmachu dla Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej przewiduje się wcześniej niż w następnej 5-lata. Ta budowa ma wybitnego pecha. Mówi się o konieczności jej powstania od lat. Ma już przepiękne miejsce wyznaczone w planach miejskich — w obrębie ulic Dąbrowskiego i Staszica. Przygotowanie materiałów upoważniających do rozpoczęcia budowy trwa zbyt długo i to jest przyczyną, że jeszcze nie weszła w stadium realizacji.

Przewiduje się budowę kina dla filmów na taśmie 70 mm, supernowoczesnego z urządzeniami pełnej stereofonii itd. Przewiduje... Tak, w planach jest jeszcze niejedna

obiekt, ale w planowanym budynku, jeszcze nie odbył się żaden spektakl teatralny, koncert, widowisko rozrywkowe. Dla działaczy społeczno-politycznych i kulturalnych problemy budownictwa obiektów kulturalnych w Rzeszowie są jednoznaczne. Trzeba mobilizacji wszystkich możliwych i dostępnych środków finansowych, trzeba zapewnić temu budownictwu najlepszą organizację prac przygotowawczych do rozpoczęcia robót i zagwarantować sprawny przebieg samej budowy, zapewniając terminowe przekazanie do użytku.

Osobnego przedyskutowania na pewno wymaga dotychczasowe wykorzystywanie istniejących pomieszczeń nadających się do działalności kulturalnej i rozrywkowej. Zamykanie się poszczególnych instytucji we własnych 4 ścianach nie zawsze zgodne jest z zapotrzebowaniem społecznym na organizowanie czasu wolnego po pracy, na rozrywkę, która bawi i uczy.

Pomieszczenia Wojewódzkiego Domu Kultury niejednokrotnie wykorzystywane są ponad ich możliwości. Impreza goni imprezę. Spóźnienie lub przedłużenie jednej powoduje załamywanie czasu rozpoczęcia następnej. Nie zawsze znajduje się te kilkanaście minut luzu, na tak prozaiczną czynność, jak przewietrzenie sal. Gościnność WDK jest już znana i popularna, znajduje pełne uznanie, ale i tej nie można nadużywać w interesie samej kultury, dla dobra samej działalności placówki pełnej ciekawych inicjatyw i zaprowadzonych nowych form pracy artystycznej i rozrywkowej.

Na pewno zbyt rzadko gości dla niej właściwe imprezy kameralna sala koncertowa Państwowej Szkoły Muzycznej przy ul. Chopina. Na pewno za rzadko otwiera swe podwoje tak zwana scena kameralna w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej. Wyliczyć można zapewne jeszcze niejednego obiekt, który znakomicie mógłby służyć kulturze. Koordynacja wykorzystania istniejących sal w Rzeszowie może rozwiązać niejedną problem organizacji imprez, z jakich dotąd się rezygnowało z powodu braku właściwych pomieszczeń.

Okres przedzjazdowy wyzwolił natomiast wiele inicjatyw budownictwa bazy kulturalnej na wsi rzeszowskiej. Obecnie w budowie znajduje się ponad 100 wiejskich domów kultury, powstających w czynnie społecznym. Jak informuje mnie zastępca przewodniczącego Prezydium WRN tow. Mieczysław Kaczor — mieszkańcy wsi rzeszowskiej dla tego budownictwa zmobilizowali już 42 mln złotych. Bezpośrednia praca przy budowie obliczana jest na 25 mln złotych. Wokół tej działalności wytworzyła się szlachetna rywalizacja. Znajdujące się w budowie wiejskie domy kultury będą domami kultury z prawdziwego zdarzenia. Nie ma pogoni za budowaniem „palaców”, lecz każda ze wsi dąży do tego, aby jej dom nie był gorszy od domu kultury sąsiedniej wioski. Tak wielki ruch społeczny wokół budownictwa obiektów kulturalnych nie był dotąd notowany w naszym województwie. Wieś chce żyć dostatejnie i dziś już docenia znaczenie istnienia placówki kulturalnej u siebie, w zasięgu dostępnym każdemu nawet w jesienne dni niosące szarugi i w zimowe zamiecie.

Justyna Woś

Historia żywa



Wysoki pan energicznie przemierzał gabinet przechodząc od jednego do drugiego, szczerze wypełnionego książkami — regału. Gdy znalazł pożądaną pozycję siadł w fotelu za biurkiem. Potem mówił dużo i szybko, jakby chciał w ciągu godziny czy dwóch zmieścić w opowiadaniu ponad 40 lat swojej naukowej pracy.

Za oknem jesienią szaruga i mokry Wrocław. W gabinecie na biurku lampa oświetlająca twarz profesora. Przybył tu dawno, młodszy o dwadzieścia kilka lat, pełny wiary i energii. Co zdołał zrobić? Był jednym z organizatorów ośrodka naukowego we Wrocławiu, ożywił działalność „Ossolineum” jako pedagog i naukowiec rozpoczął wykłady w jeszcze dobranej nie oczyszczonej z gruzów sali Uniwersytetu. Kontynuując tradycje słynnej krakowskiej szkoły założył Katedrę Historii Gospodarczej i Społecznej na wydziale historyczno-filozoficznym wrocławskiego Uniwersytetu. Interesując się sprawami rolnictwa i gospodarki włączył się także do będących w rozruchu dwóch szkół: wyższej handlowej (potem WSE) i wyższej rolniczej. Równocześnie stał się jednym z najbardziej aktywnych inspiratorów osadnictwa na odzyskanych terenach koło Wrocławia.

„Zaczął się od tego, że obecny kierownik Katedry pracując od 1945 roku jako członek Rady Naukowej dla zagadnień Ziemi Odzyskanych oddał swoją wiedzę i znajomość problemów wiejskich na usługi akcji osiedleńczej. Współpraca w tej dziedzinie z prof. F. Bujakiem i prof. W. Styśm pokazała, że nauka może być pomocna przy realizacji trudnego dzieła zasiedlenia Ziemi Zachodnich i ściągnięciu tu ludności wiejskiej z okolic Polski centralnej i południowej...”

Profesor agitował osobiście. Często w tamtych czasach przyjeżdżał w rodzinne strony powiatu lańcuckiego zachęcając właścicieli niezbyt fortunnych gospodarstw do wyjazdu — jak się wtedy mówiło — na Zachód. Albigowa, Handzlówka, Husów pamiętają te burzliwe zebrania. Niektórzy zaryzykowali. Mówią teraz o nim „Nasz profesor”. Trzeba było cierpliwości i lat, aby zdobyć się na dzisiejsze z aprobatą wypowiedziane słowa:

— Prawdę mówił Ingłot. Tak. To właśnie prof. dr Stefan Ingłot był tym zapaleńcem, który chciał widzieć nową polską wieś, dobrze zagospodarowaną, mocno uspołecznioną. Chciał, aby wśród jej mieszkańców było coraz więcej chłopów-inżynierów, chłopów-agronomów, chłopów-rolników w pełnym słowa znaczeniu. Za-

grzebany w historii przeszłości gospodarczej i społecznej, nie wiadomo kiedy znajdował czas na wyprzedzanie „teraźniejszości”. W tym swoim dążeniu udowodnił, że nauka służy ulepszeniu życia, wskazując na możliwości jej praktycznego wykorzystania. Poszukując racjonalizacji życia i jego humanizacji poprzez wykorzystanie naukowych zdobyczy nazwisko historyka, stało się szeroko znane i popularne na polskiej wsi.

Tam jest coś, co przyciąga...

Patrząc w okno wrocławskiego gabinetu, profesor był już myślami daleko poza nim, w miejscu, o którym mówi — to „pluca Polski”. Bieszczady. Za chwilę dodał:

— Zresztą cała ziemia rzeszowska kryje wiele tajemnic, ma tyle niecodziennego uroku...

Czy można się więc dziwić, że w swojej naukowej działalności Stefan Ingłot zawsze wygospodarował czas na badania o charakterze regionalnym, że jako rodem z Albigowej uważał, iż jego „obowiązkem” jest przeprowadzenie badań nad budżetem gospodarstw chłopskich rodzinnej wioski, że nie mógł przepuścić zagadnień obyczajowych, interesując się obrzędami weselnymi. Kilka lat temu w Roczniku Przemyskim zamieścił Stefan Ingłot artykuł o najstarszej w województwie Szkole Gospodyń Wiejskich (założonej w 1898 roku w Albigowej). Profesor pisał:

„Przypomnienie rozwoju Żeńskiej Szkoły Rolniczej w Albigowej powinno przyczynić się do tego, by maksymalnie wykorzystywać istniejące dziś na wsi możliwości kształcania się w kierunku zawodowo-rolniczym, by nie było w najbliższej okolicy dziewczyny i chłopca, którzy by nie skorzystali z dobrodziejstw rolniczej szkoły. Tą drogą przyspieszymy tempo rozwoju kulturalnego wsi i zrównamy jej poziom z poziomem kulturalnym miasta i jej mieszkańców...”

O podniesienie poziomu kulturalnego wsi walczył profesor piórem kilkadziesiąt lat popularyzując oracje społeczników i działaczy. To właśnie Stefan Ingłot próbował zestawić bibliografię wierszy Franciszka Mauryśia z Handzlówki, potem zachęcił go do napisania pamiętnika, wydanego w 1932 roku w Bibliotece dzieł i kultury wsi pt. „Żywot chłopca działacza”. Jeszcze na Uniwersytecie Lwowskim wspólnie z prof. W. Styśm i Husowa i prof. F. Bujakiem redagował czasopiśmo popularnonaukowe „Wieś i państwo”, a po 1945 roku często wsiadał w pociąg Wrocław — Rzeszów — Przemyśl, aby zdążyć na obrady Stacji Nauko-

wej Polskiego Towarzystwa Historycznego w Przemyślu. Podczas jednej z dyskusji na Zjeździe w Rzeszowie: uczonych, pisarzy i działaczy ziemi rzeszowskiej, zabierając głos, profesor Ingłot z zapalem i gorąco uzasadniał potrzebę utworzenia w województwie Wyższej Szkoły Rolniczej. Od kilku lat filia krakowskiej uczelni znajduje się w Łańcucie.

— Tam u was jak się coś robi, to widać efekty, i to daje dużą satysfakcję działaczom — powiedział.

— Dlaczego pan, profesorze mówi „tam u was”?

Znaczący uśmiech wszystko wyjaśnił. Jakaś przekora podsunęła te słowa, a my wiemy, że u nas jest coś, co ciągnie profesora do ziemi rzeszowskiej...

W kręgu nauki

Dwa lata temu w maju, odbyła się wielka uroczystość w Domu Nauki we Wrocławiu. Wysokiemu panu doręczono stertę listów i telegramów z gratulacjami m. in. od marszałka Sejmu, wicepremiera, dyrektora Instytutu Historii PAN, prezesa PTH, depesze od rektorów i senatów różnych uczelni całego kraju i zagranicy. W tym samym dniu udekorowano go Złotą Odznaką Uniwersytetu Wrocławskiego.

Był to jubileusz czterdziestu lat pracy uczonego i wychowawcy, społecznika i działacza. Te lata pracy — to także historia ponad trzystu „uczniów”, którzy pod kierunkiem prof. dr St. Ingłota napisali pracę magisterską, piętnastu — doktorską, a pięciu habilitowało się. Sam mistrz znajdował czas, aby opublikować około 350 pozycji. Między innymi, jest autorem podręcznika historii gospodarczej, po francusku napisał pracę o Alzacji (habilitacyjna na Wydziale Praw Uniwersytetu w Strassburgu 1932), prowadził badania w dziedzinie historii spółdzielczości w Polsce i jest bezpośrednio w ten ruch zaangażowany, biorąc udział w działalności Spółdzielczego Instytutu Badawczego w Warszawie. Teraz na warsztacie naukowym przygotowuje się pod redakcją Stefana Ingłota ogromne, trzytomowe dzieło: „Historię chłopów polskich”.

— Chciałbym tym zakończyć swoją działalność, a wtedy dopiero odpocznę...

Profesor pochylił głowę nad maszynopisami. Znowu ujrzałam dokładnie twarz w świetle lampy. Przez jedną chwilę można było dostrzec zmęczenie. Za sekundę charakterystyczny błysk w oczach dał znać, że po moim wyjściu profesor z energią zabierze się do pracy.

Rozmowy o pracy

Krystyna Świerczewska

Pierwsza dama teatru



4, 5 i 6 listopada będzie w Krośnie, 7 i 8 — w Sanoku, 9 i 10 — ponownie w Rzeszowie, 12 i 13 — po jednoniowym odsapnięciu zawojuje Przemyśl, 14 i 15 — Stalową Wolę, a na zakończenie — 21 i 22 pożegna się z Rzeszowskiem w Mielcu. Pożegna zapewne zwykłym do widzenia i najpiękniejszym ukłonem, jakim żegnano nas kiedykolwiek ze sceny. Pożegna, by wrócić znowu po roku, może dwóch latach dopiero, ale wróci — w to wierzę ja, w to wierzy ona sama, w to nigdy wierzyc nie przestaną jej wielbiciele.

Cóż tam Marlena Dietrich z najpiękniejszymi nogami świata i sześćdziesięcioma paroma latami wobec jej najpiękniejszego uśmiechu i ostatnich dwóch miesięcy, jakie dzieli ją od dziewięćdziesiątki! Obchodzić ją będzie, jak przystało na osobę niezwykłą, równo w Nowy Rok 1969. Blikle zapewne przysię tort jak młyńskie koło, a zdmuchnąc te dziewięćdziesiąt świeczek pomogą przyjaciele, liczni, zakochani, spragnieni gawędy pani Mieczysławy, tryskającej humorem, pogodą i dobroduszną kpina z czasu. Bo udało jej się ten czas zawoować, ujarzmić, zaprzęć w rydwan adoratorów kobiety zawsze pięknej, nie tylko młodociane kiedyś — ale umysłem i wytrwałością dzisiaj. Z figlarnym przymrużeniem oka zwycięża ten czas wyznaniem, które ma w sobie mądrość filozofów, że z życia należy brać wszystko na bieżąco — odkładać tylko umieranie.

Kiedy patrzę na Mieczysławę Cwiklińską przy kawiarnianym stoliku, podziwiam tyleż zabawnym loczek, wysuwający się spod eleganckiego kapelusza, co niefalszowaną ciekawość jego właścicielki dla ludzi nowo poznanych, miejsce po których wędruje i... smakolików, którymi ją racza. Podziwiam szerze ten wielki kawał ciacha z kremem, bitą śmietaną i dużą kawą, bez których, wyznaje, życie byłoby smutne i nic nie warte. Podziwiam ten głód życia dosłowny i symboliczny, tę przedziwnie ocalałą młodość duszy i zamierzeń, a w moim podziwieniu miesza się zazdrość z uwielbieniem, bo któż dziś, jak mógłby mówić poeta sparafrazowany, umiałby jak ta ostatnia z wielkich i sławnych polskiej sceny, tak wodzić życie za nos, a czas prowadzić jak Dżimka przy nodze. Dżimek być może, posiadać częstkę

tajemnicy swej pani, bo jako jedenastoletni staruszek — pekińczyk, nader rzeński pilnuje jej garderoby, znosi wojaże, krótkotrwałe rozstania i brzydkie przepisy miejsce publicznych, traktujących psiaki jako boskie pokaranie.

Kiedy podziwiam, nie sposób mi zapomnieć ów 60-letni jubileusz pracy scenicznej, który wypadł akurat w 1960 roku; nie sposób nie przypomnieć wtedy daty rozpoczęcia tej najblaskotliwszej z karier — czyli roku 1900. I nie sposób nie zdać sobie sprawy, że jako panna Trapszo, właściwie rodziła się na scenie, w pieluchach więcej ją czuła, niż niejedna dojrzała aktorka. I nie sposób nie przypomnieć owej belle epoque polskiej operetki, kiedy czarowała nie tylko aktorstwem, ale głosem, obok takich sław, jak Kawecka czy Messalka. I robiła to tak znakomicie, że jeszcze dziś Ludwik Sempoliński pisze o niej, że zawsze piękna, czarująca, niezwykliczono, wszystkie przemiewająca.

Grywała z największymi — przyjaźniła się z największymi. Z rozrzewnieniem sięgam po pamiętniki Solskiego, który zjeżdżając do Warszawy na jubileusz 100-lecia wspomina przyjęcie w miłym gronie przyjaciół, z panią Mecią na czele. A działo się to w roku 1954 i samam uczestniczyła w tej niezwykłej uroczystości, „kiedy to smarkacz Solski zamieniał taniec i śpiewanie po ogródkach w doktorat honoris causa” (cytat z jubileuszowej śpiewki), a jego promotor prof. Kleiner w pięknej oracji charakteryzował twórczość i życie, zaś Pani Mecią ugruntuowała wtedy swoją karierę w Polsce Ludowej, by w rok po jego śmierci dostać Państwową Nagrodę Artystyczną I stopnia wspólnie z Adwentowiczem, Leszczyńskim, Wiercińskim. I ilekroć będzie o niej mowa, będą się zawsze nakładały na siebie najwspanialsze nazwiska polskiego teatru.

Grywała z największymi i pisywała o niej najwięksi. Czytując sobie do poduszki Boya, znajduję ciągle jej nazwisko. Ież on tam, nieposkromiony w szczeroci i nie skąpiący cięgow — wylał zachwytów nad jej grą! Są to przy tym zachwyty najlepsze, jakie kiedy o sobie czytała, bo dowcipem równe jej dowcipowi, temperamentem — jej temperamentowi. Choć dwa z nich przytoczyć mi trzeba, bo lepszych wymyślać sensu nie widzę: Ten pierwszy więc: „Cwiklińska

blichności nie uznaje. Nigdy mnie nie bawiło grać dla garstki koneserów, nigdy mnie nie pociągał teatr eksperymentu elitarnego i nie bardzo wierzę by to był ten teatr, który ma rację bytu. Widziałam „Śluby panięskie” w Nowej Hucie i nie tyle przerażało mnie, że Guccio skakał po scenie w papierowej czapce — tylko co on, przebóg, wyprawiał z tekstem! Gdybym mu partnerowała, co przed laty tyle razy się zdarzało, musiałabym zmusić go do przywrócenia blasku językowi Fredry, który mnie zawsze urzekał pięknem, prawdą, soczystą jednością. Grywałam przecież ciągle, zdarzały się sztuki, których nie pamiętam...

... — jak ta, gdzie Boy krzyczy: zmarnowano Cwiklińską!

— Właśnie, czasem i marnowano może, ale aktor mojego genre'u był dla publiczności, teatr też był dla publiczności. Zostało to we mnie jak trema, której się po dziś dzień pozbyć nie mogę. Pani powiada, że po raz pierwszy zobaczy mnie na scenie — Boże, przecież ja będę miała tremę podwójną! — I syn pó raz pierwszy! — Uwielbiam młodzież, cieszę się, gdy mogę ich porwać, gdy piszą, że byłam wspaniała i wolą mnie od Holubka...

Nie mam piękniejszego listu nad ten, który dostałam od nastolatka z Wrocławia, członka Klubu Mieczysławy Cwiklińskiej i który zaczynał się od słów: „Cóż ja bym dał za taką wspaniałą babcią!” oraz kończył obietnicą: „Pewnie bym sprzątał w kuchni, zmywał naczynia, chodził na zakupy, byleby mieć ją przy sobie!”.

Pyta pani o pracę — to dobrze, że pani to tak nazwała, bo ileż to razy mówią ludzie: at, przebrała się w jedną, drugą suknię, potańczyła, pośmiała i wzięła kwiaty na zakończenie. Często przecozają drugą prawdę zawodu: żeby je wziąć — musiała ten śmiech, taniec i słowo opracować w szczególności, unikać powtórzeń, przemyśleć rolę. Dobrze, gdy mówię językiem Fredry, czyli językiem arcydzieł — gorzej, gdy w nie najlepszej sztuce muszę zbudować portret prawdopodobny, obdarzyć go własnym ciepłem, włożyć w siebie i wiele z mego doświadczenia. „Drzewa umierają, stojąc” nie są arcydziełem...

...za to rola, która pani zawdzięczamy osiągnęła doskonałość!

— Miło to słyszeć, nawet po tylu latach występowania w tej sztuce i zdradzę pani, że pytają: nie nudzi cię ona? A nie nudzi i nigdy nie znudzi! Gdzież tak bardzo uda mi się być sobą? Co prawda chętnie bym pa-

ni naplotkowała na temat świetnej, znalezionej właśnie dla mnie nowej babci w sztuce znakomitego pisarza zachodniego, bardzo dobrej sztuce, za którą się biorę pełną radości i pasji, ale wszyscy przyjaciele zakazują — bo to ma być ten wystrzał Cwiklińskiej. Język mnie swędzi, więc... zmieńmy temat, proszę!

Więc wróćmy do Casony i kontynuujmy się czasem terazniejszym, niezwykłą rolą życiową. Idziemy ją oglądać trochę tak, jak by to był nieustający benefis aktorski, lecz w trakcie oglądania stwierdzamy, że za wcześniej na to słowo. Bo wystarczy zobaczyć, jak ona pije szampana, z jaką gracją tańczy walc, jak zrzedzi na gosposię, jak kocha swoich bliskich, jak twardo broni godność ludzką, jak przeistacza się w finale z rozkosznej babci w tragiczną heroinę dramatu — by zobaczyć raz jeszcze aktorstwo najkunsztowniejsze i kbiecość najbardziej czarującą.

I warto zobaczyć ten aplauz publiczności, rozśmieszony do łez, wzruszony, płaczący, bijący brawo na stojąco. Po raz pierwszy spektakl przyprowadził mnie o drapanie w gardle i swędzenie oczu. Po raz pierwszy zobaczyłam fenomen biologiczno-artystyczny — kobietę, która swoim talentem zniweczyła pojęcie czasu. Po raz pierwszy banalne już pojęcie o sztuce, nie znającej granic, państw, regionów zadźwięczało prawdą. Po raz pierwszy sens pracy po kres możliwości człowieka stał się tak widome sensem życia ludzkiego. Po raz pierwszy nastąpiło ścisłe zjednoczenie tych pojęć. Po raz pierwszy w „Rozmowach o pracy” znalazła się nie rzeszowianka, ale wielka artystka — czyli wspólna własność polska. Gdzież by tu szukać godniejszej?

Kiedy żegnałam tę ciągle piękną kobietę, która dawno ukradła Marlenie Dietrich tytuł najpiękniejszej babci świata, kobietę, znającą wszystkie hotele i wszystkie sceny w Polsce, kobietę bez jakiegokolwiek odpowiednika żywotności i pracy w kregach twórców-artystów całego świata, kobietę, o której wypisano hektolitry atramentu, kobietę — którą spowija powszechna sympatia i która po rzeszowskim spektaklu nadała telegram do naszej olimpijki najbardziej kobiecej, jaki historia kobiecości zachowa — usłyszałam na zakończenie:

— Nie można nie pracować, proszę pani, bo to oznaczałoby, że człowiek przestał być człowiekiem żywym.

Dopóki w ogóle będę — będę dla publiczności!

Czemuż się dziwić zatem, że w Sanoku, gdy przed dwoma laty odwołano jej spektakl, publiczność nie chciała zwrócić biletów, obiecując czekać nawet dwa lata na jej powrót? Czemuż — jeśli czas, gdy zostaje partnerem Cwiklińskiej, zamienia się li tylko w pokorne służkę pierwszej damy polskiej sceny.

*Przytelnikom
Nowin Rzeszowskich
Wiele Serdecznych Pozdrowień
i do zobaczenia w listopadzie
Mieczysława Cwiklińska
Rzeszów 19.X.1968 rok.*

— Proszę pani, ja innej pu-

Dorobek naukowy rzeszowskiego środowiska humanistycznego wzbogaciła ostatnio bardzo cenna edycja. Książka pt. „Wilhelm Mach, człowiek i pisarz”, która niedawno ukazała się w księgarniach, stanowi pokłosie sesji naukowej poświęconej twórczości Macha, a zorganizowanej w 1967 roku przez Rzeszowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk i rzeszowski Oddział Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza.

Okazała, blisko 300 stronicowa „Księga Machowska” jest jakby pomnikiem niedawno zmarłego pisarza, tak żywo związanego biografiami i twórczością z Rzeszowszczyzną, iż Kazimierz Wyka nazwał go w szkicu publikowanym w „Twórczości” pisarzem rzeszowskim. Księga pamiątkowa nie zajmuje się jednak szerzej związkami Macha z regionem — mówi o nim jako o człowieku i pisarzu, który pozostawił trwałe ślady we współczesnej kulturze narodowej. Część pierwsza księgi biograficzna, ukazuje obraz pisarza i człowieka przyjaznego ludziom i żarliwie zaangażowa-

nego w ich sprawy przez przyznanie wspomnień jego przyjaciół. Mówi o tym szkicu biograficzny pióro Ryszarda Matuszewskiego oraz wspomnienia o nim Edwarda Milasa, Adama Włodka, Mariana Pilota, Bronisława Cmeli i Tadeusza Stanisza. Wylania się w nich człowiek, w którego „życiowości, uczynności było coś z atmosfery tego ciepła, jakie roztacza obcowanie z postaciami z

szeregu i najserdeczniejszego przyjaciela Macha, Stefana Otwinowskiego, z którym wystąpił on w czasie uroczystości poświęconej temu pisarzowi w Dębicy.

Następne szkice i rozprawy dotyczą już twórczości literackiej Macha. Józef Nowakowski analizuje szczegółowo jego działalność jako krytyka literackiego, akcentując wnikliwość, erudycję i emocjonalny stosunek do literatu-

musieli z żelazną dyscypliną przestrzegać reguł poetyki. A ostrych wyrzutów pod adresem zmarłego pisarza w tej pracy nie brak: „...autor poprzestaje na tradycyjnych, podręcznikowych interpretacjach”... ma... „pewną dość irytującą i maneryczną tendencją do etykietowania”... „Na plan pierwszy wysuwa się pusta, drażniąca retoryka i niemal muzyczne crescendo. Mamy tu do

parciu o eksperyment prozatorski Macha, w „Górach nad Czarnym Morzem”, a Wojciech Paścierniak bardzo wysoko ocenia Agnieszkę, córkę Kolumba”, traktując tę powieść jako baśń czy legendę, w której „nastąpiło szczęśliwe spotkanie realizmu i poetyckości w rzeczach i wyrazie”. Anna Niewolak Krzywdka publikuje artykuł, w którym analizuje całokształt twórczości powieściowej Macha na tle ogólnych tendencji rozwojowych współczesnej literatury polskiej.

Bardzo wnikliwe uwagi o strukturze językowej i indywidualnych cechach stylistycznych pisarza pióra Stefana Reczka, torując drogę dalszym badaniom w tym kierunku. Nikt dotąd bowiem nie zajmował się z tego punktu widzenia prozą Macha. Księgę zamyka bibliografia podmiotowa i przedmiotowa dorobku twórczości pisarza z wielką starannością opracowana przez Jadwigę Orzech. Nie jest ona jeszcze kompletna, ale na pewno zawiera wszystkie ważniejsze publikacje Macha i ważniejsze artykuły o nim. Trzeba dodać, iż atrakcyjność i walor dokumentalny wydawnictwa podnosi bogaty materiał ikonograficzny dotyczący twórcy, po raz pierwszy udostępniony czytelnikom.

Książka „Wilhelm Mach, człowiek i pisarz”, mimo iż można polemizować z niektórymi pracami w niej zawartymi, jest piękną próbą utrwalenia pamięci znakomitego pisarza w świadomości narodowej, zawiera sporo sądów i sformułowań na temat jego twórczości, nowych i odkrywczych, a co najważniejsze jest pierwszą publikacją, która usiłuje dokonać syntezy tej twórczości. I mimo iż czas przyniesie jeszcze niejedno przewartościowanie wielu utworów z jego dorobku literackiego, to książka zawsze będzie cennym dokumentem i materiałem wyjściowym dla dalszych badań literackich związanych z twórczością pisarza. Gratulacje należą się także Rzeszowskiemu Zakładowi Graficznym za staranność edycji i dobry poziom graficzny książki.

1) Ryszard Matuszewski: „Człowiek i pisarz ludziami przyjazny”. „Wilhelm Mach, człowiek i pisarz”, str. 32.

„Wilhelm Mach, człowiek i pisarz”. Zbiór artykułów i rozpraw pod redakcją Stanisława Fryciego. Rzeszów, 1968 r. Nakładem Rzeszowskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i WSP w Rzeszowie.

Jan Grygiel

Pamięci Wilhelma Macha

Prusa, Dickensa, Amicisa. Nigdy nikogo nie chciał skrzywdzić czy dotknąć. Jedyne, na co reagował z wyraźną niechęcią, wewnętrznym jak gdyby kurczeniem się — to była z gruntu obca mu ludzka brutalność i bezwzględność!...¹⁾ Szkoda, że nie znalazło się tu wspomnienie najbliż-

ry polskiej pisarza. Eugenia Łoch w obszernej (może trochę przegadanej) pracy pisze o opowiadaniach Macha z lat 1945—1953. Budzi wątpliwości wyprowadzenie przez nią rodowodu wczesnego pisarstwa Macha z wpływów literatury pozytywistycznej. Autorka nie zdołała dostatecznie uzasadnić tej tezy — w końcu każdą obywatelską, zaangażowaną prozę można uznać za kontynuację tradycji pozytywistycznych, ale to nie świadczy o bezpośrednich wpływach pozytywizmu na twórcę. W ogóle praca ma przesadnie „wplywologiczny” charakter. Rodzą się również pewne zastrzeżenia przy lekturze prac Stanisława Gębali o esejach z tomu „Doświadczenia i praktyki” i Gustawa Ostasza: „W kręgu poetyki i problematyki reportaży”... Autor pierwszego szkicu próbuje dość zresztą nieprecyzyjnie ustalić istotne cechy gatunkowe eseju, następnie do wywiedzionej definicji przymierza utwory Macha i stwierdza, że nie spełniają warunków założonych w definicji, czyli iż są albo złymi esejami, albo nie należy ich do esejów zaliczać. Konkluzja słuszna, gdyż Mach w tomie „Doświadczenia i przypadki”, w cyklu — eseje, opublikował kilka bardzo różnych formalnie i gatunkowo szkiców, reportaży oraz artykułów i nigdy nie usiłował ich traktować jako utwory sensu stricto eseistyczne. Zdziwiał więc nieco ten ton gorzkiego wyrzutów pod adresem pisarza, iż nie dorósł do tego, aby spełniać wymagania gatunku literackiego — tak jakby to teoretycy literatury stwarzali rodzaje i gatunki literackie, a nie pisarze, i jakby to właśnie pisarze

czynienia z typowym kaznodziejstwem”...

I to wszystko pod adresem utworów, które przecież mają bezpretensjonalny, dziennikarski charakter.

Gustaw Ostasz także stosuje dość dyskusyjną przymiarkę. Z teoretycznymi uogólnieniami twórcy „klasycznego reportażu artystycznego” (czy istnieje w ogóle taki reportaż) Egona Erwina Kischę zestawia cztery utwory z tego samego tomu i czyni wyrzuty Machowi, iż jego reportaże są inne. Oczywiście, że są inne, gdyż w ogóle nie istnieje jeszcze obowiązująca definicja reportażu i sztywne reguły tego gatunku, a już na pewno żaden reporter nie ma obowiązku korzystać z doświadczeń Kischę. Jakże więc można mówić o „niedoskonalości poetyki reportażowej Macha”... skoro taka nie istnieje.

Dalsze rozprawy koncentrują się wokół dorobku powieściowego pisarza. Stanisław Frycie omawia problematykę i kształt formalny „Rdzy”, polemizując przekonywująco z oceną tej powieści dokonaną przez Andrzeja Kijowskiego w recenzji pt. „Skrzyżowanie Marksa z Freudem. Autor, broniąc Macha przed krzywdzącymi zarzutami Kijowskiego i Flaszę, stwierdza, iż „Rdza” torowała na naszym gruncie drogę nowatorstwu formalnemu i otwierała nowe możliwości przed polską prozą.

Analizą problematyki i kompozycji „Jaworowego domu” zajął się Piotr Żbikowski, Anna Buss pisze o „Życiu dużym i małym”, Maciej Szybiś ukazuje możliwości epiki lirycznej w o-

Iluzja może się przydać

Spotyka się często u ludzi wiele bardzo różnorodnych zainteresowań, czyli tzw. „koników” daleko odbiegających od kręgu spraw narodowych. Czasem jest to hodowla kaktusów, kolekcjonowanie guzików, bibliofilstwo czy malowanie niedzielne. Ale na tle nawet najbardziej nieoczekiwanych pasji Pańskie hobby jest szokujące — zwracam się do p. Tadeusza Chwałki. Cóż Pana skłoniło do zajmowania się sztuką iluzjonistyczną i to w praktyce?

— No nie tylko w praktyce. Zaczęło się od studiowania teorii. W roku 1944, gdy miałem 11 lat spotkałem majora radzieckiego, który zaczął mi demonstrować pewne chwytów iluzjonistyczne. Również wtedy wpadła mi w ręce książka „Bosko” poświęcona tym sprawom. Od tego czasu rozczytywałem się bez przerwy w literaturze poświęconej magii i do dziś zdołałem zgromadzić chyba największy w Polsce księgozbiór na ten temat. Mam ok. 60 książek w 7 językach o sztuce iluzjonistycznej.

— A jak doszło do Pańskich występów na estradzie?

— Najpierw długo się uczyłem, trenowałem, podpatrywałem chwytów iluzjonistów polskich — Salwana, Kieresa i zagranicznych — Rossiniego i Oklami. Pierwsze występy rozpocząłem w Domu Kultury WSK w Rzeszowie, oczywiście z piekielną treścią.

Później zapraszano mnie do udziału w różnych imprezach estradowych w Rzeszowie lub organizowano spotkania indywidualne. Zdobywałem coraz więcej rutyny, udało mi się także pokonać treść, która bardzo utrudnia występy. Na estradzie każdy ruch musi być niesłychanie precyzyjny i pewny, gdyż od tego zależy powodzenie. W roku 1958 złożyłem w Ministerstwie Kultury i Sztuki egzamin i zamierzałem podjąć stałą współpracę z Estradą, ale ostatecznie jakoś nie doszło to do skutku.

Mimo iż nie jest Pan zawodowym iluzjonistą, pańskie kontakty w tej dziedzinie mają już zasięg międzynarodowy. Świadczy o tym zaproszenie, które Pan otrzymał na Międzynarodowy Festiwal Współczesnej Magii w Karlowych Warach. Jak się tam Panu powiodło?

— Festiwal odbył się w dniach 19—21 kwietnia br. Brało w nim

udział 25 iluzjonistów z różnych krajów europejskich i 18 z Czechosłowacji. Zdobylem 13 miejsc i uważam to za swój sukces, gdyż byłem najlepszym z Polaków i uplasowałem się w czółówce. Czechosłowacka TV przeprowadziła nawet ze mną wywiad — brałem również udział w festiwalowym ogólnym programie dla publiczności. W Karlowych Warach występowałem pod pseudonimem „Kornelli”.

Ale chcę dodać, iż uczestniczyłem również ostatnio (od 10—13 października br.) w II Międzynarodowym Magicznym Festiwalu w Pradze. I tam zająłem dobre miejsce w czółówce i otrzymałem nagrodę piękną, rzeźbioną w metalu paterę pamiątkową.

— Widocznie ma Pan w swym repertuarze jakieś szczególnie atrakcyjne numery, skoro osiąga tak wyraźne sukcesy. Jeśli można, proszę zdradzić naszym czytelnikom tajemnicę Pańskiego powodzenia.

— Wbrew wszystkim legendom i zasłonom dymnym, otaczającym pracę iluzjonisty, efekty można uzyskać tylko przez długotrwałe ćwiczenia i treningi, inwencje w poszukiwaniu atrakcyjnych numerów programu, wynalazczość, cierpliwość i systematyczną lekturę, zwłaszcza literatury obcej z tej dziedziny. Konieczna jest tutaj znajomość języków. Do moich ulubionych i własnych efektów iluzjonistycznych zaliczyłbym: „chustkę unoszącą się w powietrzu”, sztuczki z kartami, tzw. „marwelki”, czyli barwiące się karty, numer z „chustką w grochy” itp. Nie mogę niestety dokładnie wyjaśnić mechanizmu tych efektów — to trzeba widzieć.

— No i nie chce Pan mimo wszystko zdzierać zasłony tajemniczości, która zawsze otacza iluzjonistów. A czy przypadkiem nie posługuje się Pan siłami nadprzyrodzonymi?

— Niechże redaktor nie żartuje ze mnie. Jestem z zawodu inżynierem, pełnię funkcję starszego konstruktora w rzeszowskiej WSK. Skąd do mnie, technokraty siły — nadprzyrodzone? Poza tym iluzjoniści najmniej w nie wierzą.

— Ale nie odpowiedział Pan jeszcze na pierwsze moje pytanie — dlaczego właśnie zainteresował się Pan iluzjonizmem?

(Ciąg dalszy na str. 6)



„Zwykle jesienią tak bywa...”

Fot. M. KOPEC

Stanisław Rams

GĘSTY LAS

Plewa Władek to na ogół spokojny chłopak. Dopiero, gdy sobie chluśnie półliterek, wtedy największe weselisko we wsi potrafi po łakach rozgonić. Obecnie dostał rok. Odpoczywa, że tak powiem. Razem z nim siedzi tylko siedmiu, bo wiecie jak to bywa! Kto umie w sądzie ładnie gadać, bystrych świadków postawi, jakoś mu uchoździ na sucho. Komu jak komu, ale Władekowi trudno było się wykreścić. To on przecież zaczął. Podszedł do stolika i wypił kumpłowi piwo. Jeszcze pianki nie zdążył otrzeć z brody, a już dostał w ucho. W kilka minut później, przed gospodą w Dwerniku połała się krew. Kilkunastu dryblasów grzmociło się czym popadło. Bójka trwała trzy godziny, z przerwą na papierosa. Dopiero, gdy sierżant z Lutowiska przyjechał na rowerze, cały spoczął i zapytał „co wy tu robicie?” — chłopcy przerwali krwawą zabawę. Jedni zaczęli cucić tych, co na ziemi cicho leżeli, inni rzucili się do ucieczki.

Plewa wziął ze sobą Krawczaka do pobliskiej nadleśniczówki, by w podręcznej apteczce ranę mu opatrzyć. Było już po godzinach pracy, urzędnicze bardzo się śpieszyło, więc odprawiono ich z kwitkiem. Ten fakt rozdzielił naszych chłopców do tego stopnia, że postanowili przyrzeczyć parę razy inspektorowi Montusiewiczowi. Inspektor przezornie zamknął się w biurze. Sąd Powiatowy w Ustrzykach D. rozpatrując sprawę bieszczadzkiej drwalni na okoliczność wydarzeń pod barem w Dwerniku, raczył również i ten moment wziąć pod uwagę. Jak wiadomo, inspektorów bić nie wolno, nawet gdy nie chcą udzielić pomocy w nagłych wypadkach.

Siedzą chłopcy w mamrze. Stajenni z Chmiela. Drwale z Suchych Rzek. Leśni roboczarze z Sękowca, Zatwarnicy, Dwerniczka. Reporter łązi śladem ich losów po górskich sadybach, zagląda do kwater na odludziu, nucha w urzędowych papierzykach, szukając rzeczywistych motywów bieszczadzkiej awantury. Przecież nie kufelek z pianką był tu przyczyną główną. Tak-

że nie pudełko zapalek, w porę nie zwrócone prawowitemu właścicielowi zadecydowało o drugiej fazie harataniny. No cóż, rozwinęły nadmierne instynkt walki! — stwierdza z zadumą sekretarz partii w powiecie. Dobrze zarabiają, chleb ich bodzie! — odgaduje działacz związków zawodowych. Niezwykle trudny element, rendez-vous chuliganów z całego kraju! — wyjaśnia prezes sądu. Biedni, biedni chłopcy, zagubieni w tym gęstym lesie — powtarza nauczycielka wiejska.

Tutaj, na południowo-wschodnim cypelku ojczyzny, w scenarii surowego krajobrazu, z dala od ludzkich osad, wśród wysokich masywów leśnych pracuje kilkuset chłopców i dziewcząt. Ich drobne kolektywy rozrzucone są po całych Bieszczadach, w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Działają ich szczyty górskie, głębokie jary, potoki z zerwanymi mostami, dni pluchy jesiennej i żółta maź bezdroży, ospiska śniegów w lutowe wieczory. Cokolwiek byśmy o nich powiedzieli, jedno jest pewne: oni są zdobywcami tej ziemi!

Dziewczęta z Suchych Rzek

Suche Rzeki to załazek osady. Na razie jest kamienista droga, która się zatacza nad strumieniem jak pijany drwal. Zbudował ją niedawno oddział wojskowy. Jeszcze w tym roku przyjdzie światło po drutach. Słupy już stoją. Poza tym w Suchych Rzekach jest barak. Nosi on dumne miano hotelu. W sezonie mieszka pół setki robotników. Dziewczęta przyjeżdżają z dolin wczesną wiosną, aby sadzić las. Pielegnować leśne szkółki. Pomagać przy lepszych pracach na wysoczyźnie. Jesienią większość z nich wraca z gór w niziny, natomiast przybywa więcej chłopców. Czeka ich leśne żniwa. Harówka od świtu do nocy na wyrębie.

Nie wszyscy są młodzi. Helena Gucwa, żona gajowego, pełni trudny obowiązek kierowniczkę hotelu. Od sześciu lat mieszkają w gajówce, oddalonej o trzy kilometry. Dzieci odchowali, w wielkich miastach urzędy sprawują.

Gucwowie wrócili na starość w góry, bo zawsze ich coś do nich ciągnęło. Właśnie siedzą razem w stolówce hotelu, jedynym miejscu spotkań. Gawędzimy o młodych. Za okienkiem wicher potrząsa czubami świerków. Śpią jesienny deszcz. Przeciwnie wzgórze tonie w parujących mgłach. Chłopcy i dziewczęta poszli o świcie do lasu. Pracują na akord, do roboty nie trzeba ich naganiać. Chcą dobrze zarobić. Niektóre dziewczyny już wyjechały do swoich wiosek, daleko na północ.

Marysia Kuś, trzy siostry — Zosia, Maria i Aniela Owsiane pozostaną tutaj aż spadnie pierwszy śnieg. Kasia Delikat zamieszka na stałe. Dostała etat praczeki. Potrzebna jest przez cały rok. Powracała w góry przez kilka sezonów, gdy tylko kwietniowe słońce mocniej przygrzało. W Suchych Rzekach poznała się z chłopcem. Pokochali się, ale chłopca wzięli w rekruty. Już niedługo wróci, więc chyba się pobiorą. Jak uciulają nieco piędzdy, to osiedla się na stałe. Państwo z pewnością pomoże im zbudować chałupę. Bo nad tym potokiem, skaczącym z kamienia na kamień, jest bardzo pięknie, chociaż wiosną później przychodzi i mrozom w listopadzie bardziej się śpieszy niż w dolinach. Kasia marzy o telewizorze na tym odludziu. O bibliotecę. O sklep z warzywami i wędliną. O przystanku autobusowym, aby szybko dostać się do miasta. Może kiedyś, gdy ludzie się osiedlą większą gromadą, kino powstanie, szkółkę założą. Kasia jest młoda, ma czas na czekanie.

Podobnie mówi o swojej przyszłości Miecia Burzyńska. Przyjeżdża do tych stron od kilku lat. Niedawno otrzymała etat sprzątaczkę, więc będzie miała stałe zajęcie przez cały rok. Jak leśnictwo wybuduje im osadę, sprzeda hektar ziemi na założenie ogrodu, to chętnie zostanie ze swoim chłopcem w tej uroczej kotlinie.

Wanda Krawczak pomaga gotować w kuchni. Pobrali się z chłopcem w ubiegłym roku. Urodził się im przedstawiciel najmłodszego pokolenia. Krzykiem oznajmił swój bunt wobec surowej rzeczywistości. Młody ojciec poszedł na kawalerkę do Dwernika, aby się upić z tej radości. Wciągnęli tego Ryśka w bójkę i otrzymał wyrok. Mój Rysiek jest taki porywczy — skarży się Krawczakowa. — Gdy sobie popije, łatwo może sobie i innym krzywdę zrobić.

Taki to ich świat. Mały świat dziewcząt z Suchych Rzek. Wnoszą do niego klimat stabilności. Nowego, rodzącego się życia. Wyrzecz. Cichego heroizmu. Świat drobnych radości. Szarzyzny roboczych godzin. Chęci wytrwania. Nudno, bardzo nudno jest młodym w tych lasach.

Ciemniej horyzont za oknem baru. Młodzi wnet przyjdą na obiad z Magurki, Jaworników, Berdy i innych wierchów. Będą ubłoceni i źli. Podmucha wiatru przez szparę w oknie kołysze starą gazetką na chropawej ścianie. Zszarzałe zdjęcia, wycięte z dawnego tygodnika. Potężne rakiety wycelowane w niebo. Próbny wybuch bomby wodoroowej na nieznaną wyspę oceanu. Wycinek wiadomości o tym, że Komarow zginął śmiercią kosmonauty. A tam, w rubryczce rodzimego humoru, nieprawna ręka narysowała obrazek: drogowskaz z napisem „Suche Rzeki, czyli koniec świata”. O pochyły graniastostup stoi oparty smutny, kulawy diabeł.

Reporter spojrział na starą gazetkę ścienną. Na lampę naftową, pozostawioną na parapecie. Zainteresował się tłustym kotem, drzemającym pod stolikiem. Pokręcił gałką radia, które warczało na wyczerpanych

akumulatorach. Mruknął coś do siebie i z reporterskiego notosu wykreślił wszystkie informacje, zebrane w powiecie o bujnym życiu świetlicowym w Suchych Rzekach.

Zanim słońce wzejdzie

Notatnik z bieszczadzkiej wólczy; ogród nieplewiony, rupieciernia wiadomości, śmietnik spraw ludzkich — małych i wielkich. Puchnie notes od ludzkich zwierzeń. Nawet w książce nie oddasz bogactwa tego życia — myśli reporter przerzucając kartki zapisków. Ot, zimą

nach: moja szkoła liczy razem 25 uczniów. Czteroklasówka. Poza tym prowadzę kurs dla dorosłych w zakresie szkoły podstawowej. Uczę młodych robotników, pracujących w lasach. 30 otrzymało już świadectwa. Obecnie kończy szkołę podstawową dla dorosłych kilkunastu innych, najwięcej z Ustrzyk Górnych. Odbywają ponad 10 km drogi, aby zdążyć po pracy do szkoły. Obiad jedzą przy kiosku: ser, kawałek chleba, czasem kielbasa. Do picia — lemoniada. Ale nie narzekają. Życie ich hartuje. Najlepsi to Jan



Od 1 maja do 15 listopada ZMS i ZMW organizuje obozy pracy. Młodzież rekrutuje się ze szkół wyższych i średnich. Ogółem przebywać będzie na obozach 2 600 osób. Opiekują się uczestnikami instruktorzy z ZW ZMS i ZMW. Na zdjęciu: chłopcy na obozie w Nowinach pracują przy korowaniu drzewa. CAF — IRINGH

w pobliżu hotelu w Suchych Rzekach wilki zagryzły łanię. Zbawczym instynktem uciekała pod opiekę pracujących na podwórzu dziewcząt. Nie zdążyła. Taka sobie ciekawostka. Obok niej — z napisem Dwernik, stowa człowieka zza bufetu: — panie, nadleśniczym byłem długie lata, ale mnie wykończyli! Za krytykę. Chcieli w ogóle wyrzucić z gór, jednak się uparłem. Zmieniłem fach. Gulasz turystom sprzedaje, lucernę sobie na poletku siał.

Nieco poniżej tego zapisu: nadleśniczy Kondratko od soboty pije z powodu wyjazdu z Dwernika. Wytrzymał tu dwa lata. Przeciwnie zahartowani ludzie wytrzymują w tych stronach trzy jesienie, po czym się załamują...

O, tutaj inna wiadomość: Kuzar, młody, energiczny. Pracuje w Lutowiskach. Dokszałcał się zaocznie, nie przerywając pracy w lesie. Zrobił zaocznie technikum w Krasiecznie. Był robotnikiem, pilarem, brygadystą zespołu piły motorowej. Obecnie jest leśniczym. Mieszka w Dwerniczku z żoną i dwójkiem dzieci.

Inny zapis: uwaga, małżeństwo studentów, którym znudziło się życie w ruchliwym, wielkim mieście! Porzucili studia dzienne, politechniczne. Ona została rachmistrzem w Stuposianach. On — bodaj najmłodszym gajowym w okolicy. Dołączyli mieszkanie. Studiują zaocznie leśnictwo na krakowskim uniwersytecie. W górach chcą zostać na zawsze. Nazywają się Helena i Wacław Pęcakowie.

Kilka kartek dalej: Zatwarnica. Młoda nauczycielka Maria Korska. Przyjechali tu kiedyś z zadymionego Śląska na urlop. Postanowili pozostać na zawsze. Ma pracuje w lesie. Ona uczy kilkunastu maluchów w ciasnej izdebce szkolnej. Korsi ustrzeżli trochę dzikich ptaków. Wypchał je, spreparował: — masz jako eksponaty do przyszłego gabinetu przyrodniczego — powiedziała swej Marii.

Wypowiedź Czerwińskiej, kierowniczkę szkoły w Stuposia-

Chelmecki, Józef Motyka, Emil Pobuta, Józef Krzan, Jerzy Łukaszczyk, Zdzisław Bysiek.

Odtworzenie zapisu z pobytu w pokoju hotelowym małżeństwa Bysieków w Ustrzykach Górnych: Wieczór. Ogarek lampy naftowej rzuca cienie ludzi na ścianę. Bysiek opowiada o swoim młodym życiu. Pobrali się niedawno. Zofia pracuje w sklepie. Zdzisiek wstaje o piątej, zanim słońce wzejdzie, by zdążyć na zrab. Ma 22 lata. Na zarobki nie narzeka. Nigdzie by tyle nie zarobił na nizinach. W leśnictwie. Włosate buduje się osady, więc spodziewa się, że może tam dostać własne mieszkanie. Coraz więcej jest takich, co marzą o życiu osiadłym. Ale nie wszyscy. Plaga pijaństwa gnębi młodych drwali. Gdyby oszczędzali, to w ciągu kilku lat mogliby przystąpić do budowy swoich domów. Zarządzenia utrudniają proces osadnictwa. Robotnicy, lekarze, nauczyciele, wszyscy inni, którzy chcieliby się tu osiedlić, marzą o własnym domku z kawałkiem ziemi na ogród czy sad. Zarządzenie nie pozwala. Owszem, można kupić gospodarstwo pełnorolne, ale po co robotnikowi tyle ziemi? Pracownicy leśnictwa otrzymują 2 hektary jako deputat, ale na niej nie wolno się budować. Myśleć o przyszłości? Oszczędzać? Nie sprzyjają odpowiednie bodźce.

Wracamy z Ustrzyk Górnych. W pobliskim barze leci przez otwarte okno pijacki gwar, przekleństwa, śpiew ludzi, którzy jutro muszą wstać. Zanim słońce wzejdzie...

*

Siedzą chłopcy za kratą, wikt i opierunek mają państwowy. Siedmiu zuchów siedzi. Tesknią za nimi dziewczyny Suchych Rzek, Chmiela, Dwerniczka, Zatwarnicy. Nikt im nie pomógł. Inwestycje na kluby, świetlice, domy kultury przyjdą w późniejszym terminie. Najpierw trzeba wyrąbać drogi przez te leśne obszary. Pobudować nowe wioski. Dać ludziom światło. Zasiać zbożem tysiące hektarów niczyjej gleby. Kultura przyjdzie później...

Iluzja
może się
przydać



(Ciąg dalszy ze str. 5)

— A czy wyobraża Pan sobie życie bez odrobiny iluzji? Chciałby Pan żyć w takim świecie? Uważam, że trochę uludy nam wszystkim się przyda. Moje hobby zresztą stanowi znakomite u-

zupelnienie mojego zawodu — pozwala mi żyć w dwu wymiarach. Dlatego wszystkich gorąco zachęcam — pielegnujcie troskliwie swoje „koniki” jakiegokolwiek one są. To konieczne dla zdrowia psychicznego i relaksu.

Rozmawiał: J. G.

Oczekiwałem na tę końcówkę — epilog Jego wspomnień. Jakiś się z tym nie spieszył. Zadałem więc pytanie

— A ten list?... Jeżeli można, coś o nim?...

Spojrzał w okno, za którym, na kwadratowym rynku miasteczka unosił się gwar głosów, szum samochodów, motocykli. Obserwowałem szpakowatą na skroniach głowę i podpuchnięte rysy twarzy człowieka, którego życie nie przebiegało

— List?... Tak, był taki... A raczej nawet dwa. Czy warto? — Machnął lekko ręką i ciężkim ruchem ułożył ją na biurku, przy którym obaj siedzieliśmy — w Jego gabinecie. Po chwili spojrzał znowu na mnie zmęczonymi oczami, zaciągnął się głęboko „giewontem”, strzepnął do popielniczki popiół.

— Staram się tamto zapomnieć... Nieraz mi się to i udaje, zwłaszcza gdy patrzę na dziesięć z tamtych lat wyrosłe. A wówczas tragedie, i... pomyłki, bywały też naszym udziałem. Dziś daleko poza nami tamte czasy. Ta wojna bez frontu, życie w kłębku nerwów. Rozwijają się, jak we mgle, wspomnienia po tych, co nie doczekali dzisiejszego. Ot, zwykłe prawo czasu i zawodnej ludzkiej pamięci... Ale, jeżeli już koniecznie, o liście...

„Jechaliśmy czterdzieści kilometrów — tyle, ile wynosi droga z Cisnej do Leska. Droga?... Wówczas tylko warstwy były aktualne. Konie ledwo brnęły. Mimo mrozu — buchała z nich para. Luty, w tych terenach jest zawsze ciężki: mrozy, śnieżne zawieje i dziś jeszcze, w tym okresie komunikacja nie łatwa. A wówczas?... Ot, górską, pełną dziur dróżka, kilka ocalałych jeszcze drewnianych mostków łączących te strome brzegi potoków, no i, wśród krzaków, pełno wilków... nie tylko tych, czworonożnych... Był przecież rok czterdziesty piąty. O bieszczadzkiej pętli, nikt i nie śnił.

Już nocą dojechaliśmy do komendy powiatowej. Nasi chłopcy — dwóch z załogi posterunku, zajęli się kołmi i odpowiedzialnym. Skoro świt czekał nas odjazd powrotny.

— Macie szczęście, komendancie — przywitał mnie porucznik Kowalski. — Udało się wam, po tej trasie Hrynia, Stacha...

— No niezupełnie, „po ich trasie”... Graszają po niej bezkarnie, owszem, ale do czasu, do czasu, towarzyszu komendancie — odparłem zdejmując z ramion pepeszę, kożuch, z głowy osnieżoną czapę, na której lśniły sopelki lodu.

Dopiero, gdy parowała gorąca herbata, pokazałem mu ten list. Nie znał ukraińskiego. Przeczytałem. Był adresowany do mnie — jako komendanta posterunku. Pisał sam „Ren”*) komendant kurina**) kierownictwo UPA***) powierzyło władzę i kontrolę na terenie tego powiatu. Ładnym, czytelnym pismem kurinny skreślił kilka zdań: „...My nie chcemy z wami walczyć. Nie jesteście naszymi wrogami. Wynoście się

stąd, a darujemy wam życie...” I jeszcze, że ta ziemia jest ich, że walczą o „Samostijną Ukrainę”, której granice wschodnie sięgać będą aż do Gorlic...

List ten czytałem przedtem dwukrotnie, prawie na pamięć był mi już znany. Zdawałem sobie jednak sprawę, że ta dyplomacja „Rena”, wkrótce się skończy. W tym czasie, gdy miał cztery sotnie****), a w każdej ponad 200 ludzi — mógł stawić warunki. Prawie tysiąc bandytów, uzbrojonych w hitle-

kilkanaście sztuk, a tam w miastach — nie miano co do gęby włożyć. Był jeszcze gdzieś front, któremu też należało pomóc...

Ostatni raz wzięli się na sposób. Wpadli głęboką nocą, zabrali popa i kilku gospodarzy, Ukraińców-zakładników. Wezwali sotnysa. Ten, gdy zorientował się w sytuacji — wpadł w strach. Tu już nie chodziło tylko o życie zakładników i całą brodę popa. W walce o ogień nietrudno, a Wetlina, wów-

Milicjanci nie wierzą oczom. Spisy, kto w bandzie, kto i ile dostarczył już żywności, dla sotni Bira, jakie zapasy i gdzie ukryte...

— Pane komendant, bihme niczego ne znaju... Ja nepismennyj... Stary, „niepismienny” chłop okazał się „charchowym”*****) bandy na sąsiednie wsie.

Tego dnia kilka furmanek wywoziło zapasy, z których miały korzystać upowskie sotnie. „Charchowyy” wkrótce też „sygnął”. W jednym dniu milicjanci z Cisnej wybrali jak z saka 34 członków bandy. Na furmankach zwieziono na posterunek erkaemy, automaty, tysiące sztuk amunicji, wiele taller-min i kilkanaście, tak potrzebnych polskich mundurów. Niektóre były podziurawione, rdzawe od zaschniętej krwi... Wszystko odbyło się szybko i sprawnie, bez strat własnych.

Czy bez strat?... Komendant kurina uderzył, i... mocno. Uderzył. W nocy z 23 na 24 lipca 1945 roku, w pierwszej rocznicę ogłoszenia historycznego już dziś Manifestu. Dochodziła godzina 23, gdy huk ogromny poniosł się echem wśród gór: Łopienika, Osiny, Jasienika, Rożki... Gdy ginęły te echa — z posterunku MO pozostała kupa gruzów, a wśród nich pięciu martwych: Mieczysław Halik, Władysław Błaħut, Józef Pastuszak, Stanisław Meinardz, Edward Wiśniewski... W drodze do szpitala zmarł również szósty milicjant — Bolesław Faliszewski, brat zastępcy komendanta posterunku. Ocalała tylko żona i córka komendanta. Strop w kancelarii, gdzie spaly, był mocniejszy, chociaż i on upadł też wkrótce, gdy ich stamtąd wyciągnęto.

Pozostali milicjanci byli na zasadzce w okolicy Zubracze — więc ocaleli.

Na miejscu tym od 1965 roku stoi piękna ośmioklasowa szkoła, a obok internat na 60 dzieci — ufundowane przez funkcjonariuszy MO i Służbę Bezpieczeństwa całego kraju.

Urządzili więc posterunek w nowym miejscu — przy wzgórzu Bellejemka, tam wśród

drewnianych umocnień, pozostałość po żołnierzach, którzy odeszli do Bałigradu. I znowu, wkrótce, nowe „odwiedziny

...Był 15 grudnia 1945 roku. Zimny wiatr z zadymką pędził wśród polonin i bieszczadzkiej wzgórz.

— „Ciemno było, gdy we wsi zaczął się jakiś ruch, a i tak spać nie mogłem, całą noc” — wspomni po latach komendant posterunku. — „Wyszedłem z mieszkania na drogę, a tam... pełno furmanek i uzbrojonych ludzi, cofnąć się było już za późno, zresztą jakże, gdy na posterunku może tego nie zauważyli...”

Szedł więc komendant wśród bandytów z czapą nasuniętą na czoło z rękami w kieszeniach ściskając w spoconych dłoniach mauser i odbezpieczony granat... Szedł wśród wozów i dziesiątek uzbrojonych „po zęby” upowców, którzy salutowali mu, rzucali jakieś przyjazne słowa powitania... On nic z tego nie rozumiał. Czuł tylko jak pot leje mu się po plecach, z czoła ścieka na oczy, wciska się w usta. Dopiero, tuż na rozwidleniu dróg rzucił się skokiem na wzgórze, gdzie milczał dom posterunku, skąd wyzierały szczeliny drewnianych umocnień. Zdażył w porę, by obudzić uspijoną załogę, i... drzemającego wartownika — razem dziewięciu milicjantów. Nielatwo jednak było wziąć szturmem wzgórze Bellejemka, skąd sygnął się grad kul, a nawet wylatywałyminy z moździerza... Tak, z moździerza? Z tego samego, który kilkanaście dni przedtem pozostawiła banda — wraz z ośmioma zabitymi, po walce z milicjantami w Starym Siole.

Po dwóch godzinach walki — banda wycofała się zabierając kilku rannych i zabitych.

— Lachy — proklatiye. My zawtra prijdemo i wsiech was wyrizym...

Poszli w kierunku Poloniny Wetlińskiej, ze śpiwem, „Wojenko, wojenko, cößeś ty za pani...” Ale na drugi dzień nie wrócili — ta nauczka podziatała.

Zagadka „bicia w dach” upowców przed komendantem posterunku MO — szybko się wyjaśniła. To ta skórzana kurtka, barania czapa, długie buty i zielone bryczesy, a do tego średni, krepy wzrost — upodobniły komendanta do atamana kurinnego „Rena”. A, że była dopiero godzina 5... „Życie on temu zawdzięcza” — wspomina o tym uroczą żoną komendanta. — „Widocznie nie była to jeszcze moja kolejka” — mówi on z uśmiechem.

I płynęły dni, noce wśród służby, szkolenia, codziennych zajęć, i... oczekiwania na najgorsze, jeżeli coś gorszego od tego czym żyli dotychczas — mogło ich jeszcze spotkać.

(Fragment większej całości)

*) Ren — Marcin Mizerny, dowódca batalionu UPA.

**) Kurliń — batalion

***) UPA — tj. Ukraińska Powstańcza Armia.

****) Sotnia — kompania.

*****) Charchowyy — kwatermistrz.

Stanisław Myśliński

LIST

rowską broń maszynową, tysiące granatów, amunicji... I my — załoga posterunku, kilkunastu milicjantów: słabo uzbrojonych, z małą ilością amunicji, nawet nie umundurowani, tylko te biało-czerwone opaski na rękawie cywilnych kurtek...

— A no, chcą nas zaagitować sukinyzny... Na piękne słówka złapać, na strach. Ale my też tak potrafimy — myślał głośno porucznik Kowalski. — Bierz papier, pióro. Pisz, ja podyktuję. — Podsunął mi butelkę z atramentem.

— Jak to pisać? Mamy korespondować z upowcami? — Nie rozumiałem początkowo tej jego taktyki.

Dyktował prawie godzinę. Pisałem. Było tam: „...Wynoście się z tych terenów, bo przedzę, czy później znajdziecie w nich swój grób”... i tak dalej, w tym, i innym duchu, „soczystym” słownictwie...

W pokoju zrobiło się dość chłodno. Marzyły mi ręce. Pisałem jednak pod dyktando, a to porucznikowi Kowalskiemu nie szło łatwo. Ktoś wniósł drewno, nakładał do pieca...

Na drugi dzień list poszedł w teren. Jakim sposobem — nie wiem. Ale wówczas nie była to rzecz trudna. Wystarczyło dać go sotnysowi którejś wsi.

Wróciliśmy do Cisnej, na posterunek MO. A tam roboty! Roboty: patrolowanie terenu, zbieranie kontyngentów, szkolenia w posługiwaniu się bronią, umacnianie ścian i ćwiczenia w odpieraniu napadu na posterunek...

No, a później... Później, za kilkanaście miesięcy...

Lecz zanim tamto nastąpiło!

Tego nie da się streścić w kilku zdaniach. To już historia. Dla tych, co zostali wśród żywych — szmat życia. Liczy im się więcej niż podwójnie. Przypomnijmy zatem niektóre chociaż epizody działań tego posterunku MO, w owych czasach.

„Sześciokrotnie wycofywali się spod Wetliny pod gęstym ogniem bandy UPA. Kontyngent byłby należało jednak zebrać. Tu było go w nadmiarze, u każdego chłopca po kilka i

czas, była z drewnianych beł, chaty słomą kryte. W dwie godziny później piętnastu milicjantów pędziło przed sobą dziewięćdziesiąt sztuk bydła. Spoza zamazanych okienek chałup wyglądały wściekłe oczy kursantów upowskiej szkoły podoficerskiej. Na osiemnastokilometrowej drodze — serpenty nie, nie padł ani jeden strzał. Na drugi dzień pop i chłopcy wrócili furmanką do swoich domów.

„Doniesiono, że we wsi Zubracze, jeden z chłopów poluje na jelenie. Poszedł tam komendant z trzema milicjantami. I od razu, bez owijania w bawełnę:

— Masz broń, a tego nie wolno i jeszcze polujesz!!!

Chłop przyparty „do muru”, zmiektł. Zaprowadził do lasu, z dziupli starego drzewa wyciągnął mauser. Wrócili do izby pełnej pierzyn, poduszek, haftowanych ręczników, i ścian zastłoniętych ikonami.

Chciał już komendant spytać, po co tyle świętych w jednej izbie, gdy spojrzał... Staremu trzęsą się ręce, twarz błędnie i oczy wlepione w ikony — jakby tam szukał ratunku.

— Aha, tu cię boli...

A za obrazami plik papierów.



Cisna Na wzgórzu Bellejemka — smukły pomnik — wdzięczności i pamięci społeczeństwa powiatu leskiego.

KSIAŻKI

Na półkach księgarskich nowa seria: „Kierunki doskonalenia gospodarki między IV a V Zjazdem PZPR”. Wg zapowiedzi zawierać będzie kilkanaście broszur, w których autorzy omawiać będą nie tylko zmiany dokonane w ostatnich kilku latach, ale zarazem konfrontować je z tezami na V Zjazd i w ten sposób wskazywać na swych rozważaniach następujący okres. Oto dwa pierwsze tytuły:

Tadeusz Gradowski, Erwin Plichciński: ZMIANY W PLANOWANIU GOSPODARCZYM. KIW. s. 86, cena 5 zł.

Zdzisław Bombera: JAKOŚĆ I NOWOCZESNOŚĆ PRODUKCJI. KIW. s. 88, cena 5 zł.

Układ tomików jest jednakowy. Po treści merytorycznej — bibliografia przedmiotu. Jednolita obwoluta.

Józef Chalasiński: KULTURA INAROD. KIW. s. 620, cena 65 zł. Studia i szkice zawarte w tomie poświęcone są zagadnieniom kultury w powiązaniu z narodem, jako najwyższą historycznie ukształtowaną formą wspólnoty kulturowej. Prace zamieszczone w tomie pochodzą z lat 1946—1966.

Alojzy Sroga: KARNIACY. MON. s. 230, cena 10 zł.

O żołnierzach karnej kompanii w I armii WP. Wśród karniaków byli rozmaici ludzie: prawdziwi przestępcy i ci, którzy popełnili mniejsze i większe przekroczenie dyscyplinarne. Karę zamykała pierwsza krew. Reali lat 1944—1945 w formie powieściowej. Interesujące.

Jerzy Stompor: RAPSDODIA ŚWIĘTOKRZYŻSKA. KIW. s. 164, cena 10 zł.

Opowieści wojenne z kilku frontów II wojny światowej. Pisane współcześnie. Niektóre nawiązują do dzisiejszych losów bohaterów osłnu

zamieszczonych w tomie utworów. MOJ SUKCES, MOJA PORAZKA. Wybór i opracowanie A. Broniarek. Iskry. s. 248, cena 12 zł.

Książka jest plonem trzeciego z kolei konkursu ogłoszonego przez redakcję „Dookoła świata”. Po „Mojej pierwszej pracy” i „Moich uniwersytetach”, „Mój sukces, moja porażka”. A więc sens życia, powodzenie w życiu rodzinnym, powodzenie w miłości i inne. Ciekawe, bo pokazujące tzw. „kawał życia”.

Stanisław Goszczyński: KONIEC NAJDLUŻSZEGO REJSU. Wyd. Morskie. s. 272, cena 20 zł.

Dwie warstwy powieści: obraz życia współczesnych marynarzy skazanych na długą rozłąkę z krajem oraz w retrospekcji problemy typu; winien — nie winien.

Stanisław Miągowski: PO LATACH BURZY. Wyd. Morskie. s. 154, cena 12 zł.

Opowiadania. Jest w nich prawda psychologiczna, obraz trudów pracy ludzi dźwigających z ruin naszą gospodarkę morską. O ludziach morza.

Edouard Peisson: KAPITANOWIE LINII NOWOJORSKIEJ. Tlum. T. Bo-

rysiewicz. Wyd. Morskie. s. 280, cena 18 zł.

Powieść wprowadza nas w sam środek dramatu: katastrofę pasażerskiego statku. Relacja jedynego ocalałego oficera pokładowego statku „Canope”, o którego zatonieciu traktuje powieść tego samego autora nosząca tytuł „Sól morza”.

Andrzej Cybulski: POKOLENIE KATARYNIARZY. Wyd. Morskie. s. 216, cena 20 zł.

Zapiski z 10-lecia klubu studentów Wybrzeża „Zak”, wydała Centralna Poradnia Amatorskiego Ruchu Artystycznego. „Zak” był jednym z licznych teatrzyków studenckich w Gdańsku.

Erwin Strittmatter: OLE PSZCZELI LEB. Tlum. M. Gero. KIW. s. 460, cena 25 zł.

Książka niemieckiego pisarza wprowadza nas w atmosferę współczesnej wsi naszego zachodniego sąsiada. Pisana z właściwym wsi, rubasznym humorem.

Piotr Werszyhora: OPERACJA SAN — WISŁA. Wyd. III. Tlum. J. Brzęczykowski. Iskry. s. 264, cena 9 zł.

Opowieść słynnego dowódcy partyzantów, zmarłego w 1963 r., przy-

pomina okres II wojny światowej i słynny rajd partyzancki, m. in. przez teren naszego województwa.

Marian Brandys: KOZIETULSKI I INNI. Wyd. II. Iskry. s. 544, cena 18 zł.

Pierwsze, przed kilku laty, wydanie książki o bohaterze spod Samosiery uzyskało bardzo przychylny przyjęcie krytyki. Drugie wydanie w jednym tym razem tomie ma nakład 50 000 egzemplarzy.

Zbigniew Fiłowski: OD GDAŃSKA DO EL ALAMEIN. Wyd. II rozszerzone. MON. s. 324, cena 20 zł.

Nagroda ministra ON. Ciekawe reportaże, głównie z portów i mórz. Płon wypraw morskich pisany lekko, błyskotliwie przetykany gesto anegdota przekazuje historię wojenną wiedzianą krajów i polskiego oręza.

Jack London: ZA ZDROWIE WĘDROWCA NA SZLAKU I INNE OPÓWIADANIA. Wybór K. Piotrowski. WIADANIA.

Ze stu pięćdziesięciu opowiadań będących dorobkiem nowelistycznym autora „Białego Kła”, wybrano 33 pochodzące z najlepszego okresu twórczości pisarza.

Kartki dla Ewy

JEDYNACY

Lena i Borys Nikitinowowie budzą wielkie zainteresowanie wśród pedagogów Związku Radzieckiego. Małżeństwo to, zresztą nauczyciele z wykształcenia, wychowuje piątkę swoich dzieci w sposób raczej niezwykły. Ich eksperymenty były tematem wielu konferencji naukowych, uznano je za godne naśladowania i przynoszące dobre rezultaty, choć metody, jakie stosują mogłyby niejedną troskliwą mamę przyprawić o palpitację serca.

Mali Nikitinowowie od niemowlęstwa, bez względu na pogodę bawią się na świeżym powietrzu. Wolno im biegać bosą, chlapać się w wodzie, łązić po drzewach i parkanach. Nikt ich nie krępuje nadmiarem ciepłego ubrania. Jedzą wtedy, kiedy są głodne i tylko tyle, na ile mają ochotę. Dzieci nikt nie zapędza do nauki, pracują samodzielnie. Mimo takiego trybu życia cała piątka cieszy się doskonałym zdrowiem, uczy się świetnie, a nawet zdobywa laury na szkolnych olimpiadach matematycznych. Stwierdzono, że poziomem umysłowym i rozwojem fizycznym przewyższają wielu swoich rówieśników.

Nikogo nie namawiam do tego typu nowatorstwa, bo do eksperymentowania trzeba odwagi i doświadczenia, ale lepiej wiedzieć, jak inni rodzice wychowują swoje dzieci. Sami, często popełniamy błędy, z których nie zdajemy sobie sprawy.

Na przykład tuczenie dzieci na siłę — bardzo powszechna tragikomedialna łyżeczkę za dziadzia, łyżeczkę za ciocię, stryjka, panią Zosię i kotka sąsiadów. W obrzędzie uczestniczy cała rodzina: tato biega na czworakach, babcia udaje kure. Po godzinie mordęgi talerz jest pusty, ale wątpię, czy kolacja wychodzi dziecku na zdrowie. Takie karmienie wyrabia wstręt do jedzenia, jest pośrednią przyczyną innych, brzydkich zwyczajów. Niejadki na pokarmowych spekulacjach dorabiają się koni na biegunach i elektrycznych kolejkach. Lekcja cwaniactwa już od pieluszek. Inny brzdąc będzie szantażował „mamusię” — beczal bez powodu, tarzał się na dywanie, niszczył zabawki, ale skarcił go nie wolno, bo uchodził za dziecko delikatne i nerwowe. Biedny jedynaczek, należą mu się szczególne względy w świecie dorosłych: tolerancja i absolutne „placet” na wszelkie poczynania. Także specjalna dieta i ubranka z komisu. Jedynak nie może natomiast mieć towarzystwa rówieśników, gdyż mógłby zarazić się jakąś chorobą lub co gorsza, nauczyć brzydkich słów. Nie biega, nie bawi się w piasku, nie lepi balwana, nie wolno mu się zbliżyć do żadnego zwierzęcia, bo otaczający go świat jest pełen bakterii, wirusów i innych niebezpieczeństw. Wyrośnie mały odludek, egoista i hipochondryk, pośmiewisko kolegów w szkole, w życiu niedojda i maminsynek. Iluż jednak rodziców działa z przekonaniem, że robią wszystko, aby ich dziecko było szczęśliwe.

Przesadna troskliwość to zła metoda. Dzieci chowane w ten sposób częściej chorują, mają trudności w nawiązywaniu kontaktów środowiskowych, wolniej rozwijają się fizycznie i intelektualnie. Jak twierdzą lekarze, nauczyciele i psychologowie u większości źle wychowywanych jedynaków rozwijają się cechy neuropatyczne i histeryczne. Nie znaczy to oczywiście, że trzeba natychmiast postarać się o gromadę potomków. I jedno dziecko można dobrze wychować, a dwoje rozwydrzyć w okropny sposób. Problem jedynaków jest znany i w rodzinach wielodzietnych, dotyczy zwykle pierworodnego lub najmłodszego.

Świat bezustannie się zmienia. Metody wychowawcze lansowane przez naszych dziadków, czy rodziców dzisiaj już czasem tracą myśkła, rcdzą nawet konflikty rodzinne. Chcemy ich uniknąć za wszelką cenę, a boimy się innowacji. Goniimy w piętke, gdyż w ostatecznym rozrachunku najważniejszym argumentem na wszystko jest nieśmiertelne stwierdzenie: „za moich czasów tego nie było!” BEGA



LESZEK WÓJTOWICZ — członek zespołu pieśni i tańca WDK w Rzeszowie.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Cmentarzysko prehistoryczne w Przemyskim

We wrześniu br. prowadzono badania archeologiczne na terenie miejscowości Trójczyce, powiat Przemyski. Prace wykopaliskowe zostały uwieńczone dużym sukcesem. W sumie odkryto 100 grobów, z których część stanowi pochówki ludności kultury łużyckiej, natomiast większość należy odnieść do okresu późnorzymskiego (III—IV w. n. e.). Były to groby ciałopalne reprezentowane przez popielnice zawierające wśród spalonych kości ozdoby jak szpile, zapinki, pierścienie brązowe, narzędzia jak żelazne nożyki oraz gliniane przę-

śliki. Jako jedyny w przebadanej części cmentarzyska, częściowo zachował się grób szkieletowy. Natrafiono mianowicie na czaszkę ludzką, obok której tkwił żelazny grot oszczepu i dwa starannie wykonane naczynia. Jest to przypuszczalnie grób wojownika z okresu wpływu kultury prowincjonalnorzymskiej. Również w trakcie badań udało się odsłonić obiekt w postaci rowu o szerokości 60 cm i głębokości 90 cm, który układał się w kwadrat o boku długości 8,6 m. Był on wypełniony intensywnie czarną ziemią. Trudno wstępnie ustalić przeznaczenie i czas powstania tego interesującego obiektu.

Ze względu na wagę odkryć, planuje się dalsze prace wykopaliskowe.

Fundusze na badania uzyskano z Muzeum Okręgowego w Rzeszowie. Prace badawcze z ramienia Działu Archeologicznego Muzeum Ziemi Przemyskiej prowadził mgr ANDRZEJ KOPERSKI.

Festiwal filmowy krajów Azji i Afryki w Taszkencie

W stolicy Uzbekistanu — Taszkencie rozpoczął się w poniedziałek Międzynarodowy Festiwal Filmowy Krajów Azji i Afryki. Wśród 44 krajów uczestniczących w imprezie znajdują się: Japonia, Zjednoczona Republika Arabska, Indie, Uganda, Kamerun, Senegal, Mali, Kambodża, Somali, Irak, Iran, Jordania, Sudan. Z okazji festiwalu przybyły do Taszkentu delegacje filmowców wielu krajów. Festiwalowe pokazy odbywać się będą nie tylko w największych salach kinowych Taszkentu, ale również w Bucharze, Samarkandzie i innych miastach Uzbekistanu.

(sz)

Na zdjęciu: Elsa Martinelli w filmie „La Risaia”.

Na naszym ekranie

Elsa Martinelli

Pierwsze spotkanie naszych widzów z tą aktorką nastąpiło ponad 10 lat temu, kiedy w jednym z westernów, jakie ukazywały się wówczas na ekranach, zobaczyliśmy ją u boku Kirka Douglasa, grającego młodą, indiańską dziewczynę. Była tak urocza i naturalna, że mimo iż rolka, w jakiej wystąpiła należała do drugiego planu, zostawała w pamięci. Film, zrealizowany w roku 1955 nosił tytuł „Indiański wojownik”, a 20-letnia Elsa debiutowała w nim na ekranie.

Urodziła się w Rzymie, w jednej z najuboższych dzielnic — Transtevere. Jej ojciec, mały urzędnik w ministerstwie komunikacji, utrzymywał siedmioro swoich dzieci (same córki!), toteż mała Elsa już od 16 roku życia musiała iść do pracy. Rozpoczęła jako kasjerka w jakimś barze, potem poszczerściło jej się, ktoś z wielkiego magazynu konfekcyjnego dostrzegł jej urodę i klasyczną budowę. Elsa zostaje modelką i stawia pierwsze kroki w tym zawodzie. Z biegiem czasu wyjeżdża na wielkie, krajowe i zagraniczne pokazy mody, jej sytuacja materialna stopniowo ulega poprawie.

Podczas rewii mody na Riwierrze fotograf amerykańskiego pisma zrobił jej kilka zdjęć, które



opublikował w USA. Wkrótce po tym nadeszło zaproszenie za oceną.

W Stanach Zjednoczonych Elsa pracuje nadal jako modelka i dopiero w 1955 roku Kirk Douglas poszukujący młodej dziewczyny do roli Indianki w swoim filmie po obejrzeniu jej zdjęcia w „Life” zaproponował Martinelli występ przed kamerą.

Debiut był udany i młoda Włoszka otrzymuje następne angaże do filmu. Dostrzegli ją także ro-

dacy. Występuje w filmach: „La Risaia” (Zbieraczka ryżu) — Matarazzo, „Donatella” — (Minellego), w „La Mina” i „Ciao, ciao bambina”. Najczęściej gra jednak w filmach amerykańskich, francuskich i angielskich. „Et mourir de plaisir”, „Le Proces”, „De l'amour”, „La Menace”, „The VIP's” — oto tytuły kilku, spośród tych filmów. Największy sukces osiągnęła w „Donatelli”, zdobywając za rolę tytułową w tym filmie nagrodę za najlepszą żeńską kreację aktorską na festiwalu w Berlinie w 1956 roku.

Niedawno widzieliśmy ją w Polsce w „Hatari”, gdzie grała wciśbiską dziewczynę z aparatem fotograficznym, towarzyszącą łowcom zwierząt w ich niebezpiecznych wyprawach. Wkrótce zobaczymy ją w roli Olgi w filmie wiosko-francuskim „Dziś siąta ofiara” (reż. Elio Petri). Gra tu razem z bardzo popularną na Zachodzie Szwajcarką, Urszulą Andrews oraz Marcello Mastroiannim. Nie osiągnąwszy wielkiej sławy ani wyżyn aktorskiego kunsztu, ta ładna dziewczyna zyskała sobie jednak dużą popularność dzięki swemu wdziękowi i naturalności.